Rok X. Nr. 1.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO à PAULO.

Styczeń.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy.
1904.

TREŚĆ ZESZYTU.

OKÓLNIK NOWOROCZNY

NAJPRZEWIELEBNIEJSZEGO OJCA GENERAŁA.

Najdrożsi Księża, Klerycy i Bracia!

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa niech zawsze będzie z nami!

Doświadczenia, jakiemi zechciał nas Bóg dotknąć, nie mogły mnie uwolnić od obowiązku złożenia Wam, według zwyczaju życzeń na Nowy Rok. Są one o tyle gorętsze, o ile większe są nasze cierpienia. Oby wszyscy, których ręka Pańska dotknęła, mogli zrozumieć i zachować to usposobienie, jakie okazał sprawiedliwy Job wobec utraty wszystkich swych dóbr i pod ciosem strasznej choroby: „Pan dał, Pan odjął" mówił on „jako się Panu upodobało, tak się stało, niech będzie Imię Pańskie błogosławione".

Oby straty, jakie teraz ponosić musimy, oczyszczając nas z grzechów, połączyły nas ściślej z Bogiem i obudziły możliwie, jak największy zapał do wypełniania świętych naszych reguł, które są jedynym środkiem, zapomocą którego uchronić się można od rozbicia okrętu, które grozi wszystkim niechybną śmiercią.

Oby święte nasze usposobienie przyspieszyło tę niebiańską pomoc, której Najświętsza Panna pozwala nam się spodziewać od pamiętnego dnia, w którym się objawiła córce św. Wincentego. Takie są moje życzenia, Drodzy Księża i Bracia, jakie serce moje strapione, lecz nie zniechęcone żywi dla Was i dla dzieł św. Wincentego à Paulo.

Dla zapewnienia sobie łask, chciałbym, aby rok 50-letniego jubileuszu ogłoszenia Niepokalanego Poczęcia, ożywił w nas nabożeństwo do Matki naszej Niepokalanej. To nabożeństwo będące naszą rodzinną spuścizną, rozbudza się potężnie przez wspominanie na początki cudownego medalika i przez przywilej rozszerzenia znajomości i czci niewypowiedzianego przywileju Królowej Niebieskiej. Mój wielki i czcigodny poprzednik wyrażał się zawsze o początkach cudownego medalika i o przywileju rozszerzenia czci Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny ze świętym entuzyazmem. On też pozostawił nam, jako pomnik swej pobożności trzy rzeczy t. j.: wezwanie „O Maryo bez mazy poczęta“, przed każdem ćwiczeniem; potem Komunię św. w każdy 8 dzień miesiąca dla naszych Drogich Kleryków i Braci i wreszcie akt corocznego oddania się Najśw. M. P. w dniu 8 grudnia.

Praktyki te potwierdzone, przynajmniej w części przez jeden z konwentów generalnych, są bardzo stosowne do utrzymania między nami dziecięcej czci ku Niepokalanemu Poczęciu. Tu nie pozostaje mi nic, jak tylko zalecić, aby wszyscy unikali oziębłości a natomiast starali się o możliwie, jak największą gotowość w służbie Najśw. Panny. Zdaje mi się, że będzie bardzo stosownem nakazać, aby w tym roku jubileuszowym, odprawiano we wszystkich domach Zgromadzenia, 8 dnia każdego miesiąca Mszę św. ku czci Niepokalanego Poczęcia. Mszę tę ma odprawić Superyor lub Misyonarz przez niego wyznaczony. Pamiętajmy zaś na główną łaskę, jaką otrzymaliśmy z rąk tej Matki Niepokalanie Poczętej, aby przez to okazać Jej choć stały znak naszej pobożności, synowskiej wdzięczności i ufności w Jej wszechmocną opiekę.

Prawdziwa pobożność do Matki Boskiej, prowadzi do Boga. Ta czuła Matka mówi ciągle do swych czcicieli, jak niegdyś mówiła od Syna swego do sług na weselu w Kanie: „Cokolwiek wam rzecze czyńcie“. Czyż nie wyraża ona tejże myśli na odwrotnej stronie medalika i czyż nie daje nam zrozumieć skutków nabożeństwa do Niej przez to, że monogram swój umieściła pod krzyżem.

Pięćdziesięcioletnia rocznica ogłoszenia Niepokalanego Poczęcia i różne ćwiczenia przeznaczone do przygotowania dusz do tej uroczystości wielkiej, powinny ożywić w Kościele św. wiarę i pobożność, powinny rozszerzyć znajomość Boga, powinny sprawić, aby Pan Bóg więcej był znanym i więcej kochanym.

Z pośród wiadomości, jakiemi chcę się z Wami podzielić, Najdrożsi Księża, Klerycy i Bracia przy tej sposobności, których najniespokojniej bezwątpienia oczekujecie, są te, które dotyczą obecnego położenia naszego Zgromadzenia we Francyi, wśród dotkliwych wypadków, jakie się tu wydarzyły. Niestety są to wiadomości w najwyższym stopniu przygnębiające. Prawie wszystkie nasze przytuliska, jak seminarya i stacye misyjne zamknięto. Zarządziliśmy, aby wielu Konfratrów udało się na misye poza Francyę, którzy też wielkodusznie poddali się naszemu wezwaniu. Wielu z nich znalazło schronienie w ościennych krajach, jak Włoszech, Belgii, Holandyi, Portugalii i Anglii. Reszta udała się, albo do domu w Dax, albo do domu macierzystego. Niewzruszone przywiązanie do rodziny św. Wincentego przysposobiło jej dzieci, t. j. i Misyonarzy i Siostry Miłosierdzia do wielkich poświęceń. Jest to dla nas wielką pociechą w smutku, który sprowadzają te wielkie nieszczęścia.

Najdrożsi Bracia moi, zamknięcie naszych domów we Francyi, sprowadza ustanie pomocy, jaka innemi laty wpływała do domu macierzystego, podczas gdy liczne podróże za granicę powiększyły nad miarę nasze wydatki.

To położenie może nas wcale zniechęcić. Jest to naszym obowiązkiem, obmyślać środki do utrzymania tak licznego personalu.

Niezmierną stratę, jaką poniósł Kościół św. przez śmierć wielkiego Papieża Leona XIII., odczuły dzieci św. Wincentego. Wszyscy znali jego życzliwość względem obydwóch rodzin św. Wincentego. Skutków tej życzliwości doświadczyłem może najwięcej w moich częstych podróżach do Rzymu. Reskrypt z r. 1881 odnoszący się do Zgrom. S. S. M., otoczenie św. Wincentego nową czcią przez ogłoszenie go Patronem dzieł

miłosiernych całego świata, rozpoczęcie procesu p. Le Gras, beatyfikacya naszych dwóch męczenników, wreszcie ustanowienie święta Cudownego Medalika i koronacya tejże Panny Niepokalanej, wszystko to są pomniki, które mówić będą naszym następcom o ojcowskiej życzliwości, jaką odznaczał się ten niezapomniany Papież, względem dzieci wielkiego naszego założyciela, św. Wincentego. Lecz Najdrożsi Bracia, nie długo trzeba nam było czekać, by się przekonać, jak Pan Bóg nieprzebrany jest w swoich darach. Po wielkim Leonie XIII. daje On nam znowu Jego Świątobliwość Piusa X., którego z pierwszych czynów było ustanowienie święta i officium opieki św. Wincentego.

Przed kilku dniami zaledwie byłem u jego stóp, aby mu złożyć hołd od obydwóch rodzin św. Wincentego, i aby mu podziękować za tę jego łaskę. Wrażenie moje, jakie wtedy odebrałem, wyrażę chyba najlepiej, gdy powiem, że byłem zachwycony. Ujęła moje serce Jego postawa, pełna majestatu, łącząca w sobie miłą prostotę, wielka powaga i ojcowska dobroć. Ojciec św. obdarzył mnie na tej audyencyi słowami uajwiększej życzliwości dla obydwóch Zgromadzeń, którą to życzliwość, dzieli także jego sekretarz stanu, Jego Eminencya Kardynał Mêry de Val. Pobyt mój w Rzymie był krótki, ale pełen pociechy. Niestety był on zapewne przygotowaniem na dotkliwy cios, jaki mnie spotkał po powrocie do Paryża t. j. zniesienie naszych misyj we Francyi. Czyż to nie był stosowny moment do ustanowienia święta opieki św. Wincentego, kiedy dziełom miłosiernym przez Niego samego lub też w Jego duchu założonym grozi zagłada. Kościół św. daje nam właśnie pociechę i nadzieję, pragnąc, abyśmy czcili naszego Fundatora, pod nowym tytułem. Zaleca nam zarazem uciekać się do tego życzliwego nam Opiekuna, który jak wierzymy, wszystko może u Pana Boga.

Chcąc wspomnieć o różnych naszych prowincyach, zacznę Najdrożsi Bracia od prowincyi niemieckiej. Nie może ona jeszcze przedrzeć się do cesarstwa niemieckiego, co więcej zmuszoną jest opuścić swój dom św. Elżbiety w Paryżu,

który jak i inne został zamknięty przez rząd. Prowincya austryacka cieszy się przeciwnie otwarciem nowego domu w Budapeszcie, stolicy Węgier w dniu 27 września, t. j. w dzień śmierci św. Wincentego. Dom ten, jak się spodziewamy przyniesie wielkie korzyści.

W Hiszpanii spostrzegam ciągłe i wielkie przywiązanie do naszych św. reguł, oraz nieustanne błogosławieństwo Boże.

Prowincya Katalońska organizuje się coraz to bardziej. Stąd to usposobienie, jakiem odznaczają się tamtejsi mieszkańcy, żywa wiara oraz miłość św. Wincentego, pozwala się spodziewać wielkiej przyszłości tej prowincyi.

Drodzy nasi Bracia w Irlandyi, zachowują zakonną powagę, tudzież apostolską gorliwość, która im zjednała już oddawna miłość u ludu i wielkie poważanie u duchowieństwa.

Również i we Włoszech cieszą się Misyonarze nieustannie słusznem uznaniem i pracują tak nad duchowieństwem, jak i nad ludem. Misye przynoszą tu wszędzie bardzo pocieszające owoce. W południowych Włoszech, kilku biskupów oświadczyło się z żądaniem Misyonarzy do kierownictwa ich seminaryów. Jest to zadanie, którego rozwiązanie łączy się z bardzo wielkimi trudnościami. Wizytator w Turynie zgodził się przyjąć kierownictwo seminaryum w Alghero na Sardynii.

Największe powodzenie w swych pracach mają Misyonarze w Polsce. Przyjęli oni dwa domy nowe, t. j. Biały Kamień w Galicyi i Thomaz Coelho w dyecezyi Kurytyby w Brazylii. Pierwszy dom jest parafią i stacyą misyjną, drugi jest tylko parafią dla Polaków wychodźców. Zaznaczam także z radością, że ta prowincya z wielką gorliwością rozszerza nabożeństwo do Niepokalanego Poczęcia, a to z pomocą cudownego medalika i przez stowarzyszenie Dzieci Maryi. Zbudowali także dwa kościoły pod wezwaniem Najśw. Panny od cudownego medalika.

W Portugalii agitacya przeciw zakonom już się uspokoiła. Oby ten spokój był trwałym, aby nasi Konfratrzy mogli rozpocząć działalność misyjną tak w swej ojczyźnie, jak i w jej koloniach.

W Bułgaryi domy nasze narażone były na poważne niebezpieczeństwo, wśród ostatnich wypadków, jakie zaszły w Macedonii, ależ Bóg opiekował się niemi widocznie. Dwa kolegia, jedno w Konstantynopolu a drugie w Smyrnie są w stanie pomyślnym.

Misya w Persyi, otworzy tu nowy dom w Djoulfa-Ispahanie, gdzie mój bezpośredni poprzednik X. Boré jeszcze jako świecki człowiek, był pierwszym założycielem. Dom w Taurio, chociaż niedawno założony ma już kwitnącą szkołę. Dwa kolegia w Syryi, w miastach Anturze i Damaszku cieszą się jak dawniej powodzeniem. Misye między Maronitami, zasililiśmy przez powiększenie personalu. Jeruzalem pragnie nas mieć w swych murach, w blizkiej przyszłości otworzymy tam dom.

We wszystkich naszych wikaryatach apostolskich w Chinach, liczba katechumenów jest bardzo wielka. Według spisu owoców duchownych, jakie przyniosły ostatnie prace nad nimi, liczba katechumenów, już dosyć dobrze przygotowanych wzniosła się do 38.494. Ochrzczono zaś 10.344 dorosłych pogan, a 41.131 pogańskich dzieci. Seminaryum internum otwarte zeszłego roku w Czu-San, ma 17 seminarzystów a 7 studentów. — Zaprawdę, że trzeba błogosławić P. Boga na widok tak wielkiego żniwa zebranego przez naszych Konfratrów.

Prowincya w Abisynii, cieszy się zawsze życzliwą opieką tamtejszego rządu. Z przybyciem 4 nowych Misyonarzy, będzie się mogła wzmocnić i rozwinąć należycie. Staramy się o rozpoczęcie procesu beatyfikacyi Świątobliwego Just. de Jakobis, założyciela tejże prowincyi.

W Madagaskarze Mgr. Cronzet, chociaż nie miał zapewnionej przyszłości ani dochodów, nie wachał się przecież założyć wielkiego zakładu dla trędowatych. Zakład ten urządzony nadzwyczaj dobrze, ma już przeszło 300 trędowatych.

Wszystkie misye poniosły wielką stratę przez śmierć pani baronowej de Gargan, nie mniej pobożnej, jak bogatej; nasi wikaryusze apostolscy, oraz SS. przełożone, mogą po-

wiedzieć, z jaką hojnością wspomagała ich w potrzebach. Polecam ją modlitwom Zgromadzenia.

X. komisarz Demion, wysłany do Stanów Zjednoczonych, skonstatował ze zdziwieniem wielką siłę żywotną, tak w domach, jak i w dziełach w tym wolnym kraju. Jednakże ilość członków chociaż wielka, nie wystarcza zupełnie do prac jakim się oddaje. Oddając się wykształceniu naszej młodzieży od małego seminaryum do kapłaństwa i troskliwej pracy nad jej udoskonaleniem, mogą oni przyczyniać się tylko do wzrostu prowincyi, a owoce ich prac będą wielkie.

Dzięki wielkiej ilości Misyonarzy przybyłych z Hiszpanii, wzrastają domy w Meksyku. Dzieło rozwija się tam bez żadnych przeszkód ze strony władz państwowych.

Konfratrzy nasi na Antyllach, Filipinach usiłują o ile możności dalej prowadzić swoje dzieło pod nowym rządem. Delegat apostolski wysłany na Filipiny, dał o członkach naszych obydwóch Zgromadzeń najpochlebniejsze świadectwo.

Du Canca, prezydent w Kolumbii, dawny wychowanek naszych Konfratrów, prosił o większą ilość Misyonarzy, którzyby się zajęli dyrekcyą wielu zakładów. Nie mogliśmy zadośćuczynić tak zaszczytnemu zaproszeniu, zastrzegłszy sobie wpierw przystęp do seminaryum i do misyi. Lecz z pożytkiem oddawaliśmy się pracy w Ameryce Centralnej. Misyonarze wychowani w wielkiem seminaryum w Angoulème wraz ze swoim superyorem objęli dyrekcyę seminaryum w San Salvador. Związek braterski łączy Misyonarzy tak na wygnaniu, jak we Francyi i poświęcenie, jakiego dali dowody, nie mogą nie sprowadzić błogosławieństwa dla tak nam drogiego dzieła. Z zatwierdzeniem, jakie posłaliśmy Wizytatorowi, pozwoliliśmy także na utworzenie domu w Talimie.

Trzy republiki, stanowiące prowincyę Pacyficzną, a nadto Argentyna i Brazylia, zostały obdarzone wybornymi pracownikami z powodu przesilenia we Francyi. Dzięki tej wyprawie, przyjął Wizytator Brazylii dwie nowe misye w Peropolis, a drugą we Wiktoryi i jedno seminaryum w Maranhao.

I nasze seminaryum internum, poczyna także odczuwać skutki ostatnich wypadków. Aby zebrać tych, którzy chcą wstąpić do naszego Zgromadzenia z Holandyi, a którzy z powodu prawa wojskowego nie mogą opuścić swej ojczyzny, założyliśmy dom w Ruremonde, który ma już 10 seminarzystów a 11 studentów. Oby ta młodzież, podobnie jak młodzież w domu macierzystym i w Dax, współubiegała się w nabyciu cnót, potrzebnych w naszym św. stanie, oraz w nabyciu nauki, koniecznej dla Misyonarza.

Licząc bardziej niż kiedykolwiek na pomoc waszych modłów, pozostaję najdrożsi Księża, Klerycy i Bracia, Waszym oddanym sługą.

A. Fiat
N. K. Zg. M.

Parana, Thomaz-Coelho 14 listopada 1903 r.

Łaska Pana naszego niech zawsze będzie z nami!

Kochany Księże Konfratrze!

Ostatnim razem podałem o Paranie kilka tylko szczegółów, dziś, gdy już przez kilka miesięcy przypatrywałem się i mieszkańcom i zwyczajom tutejszym i w kilku innych koloniach byłem, cokolwiek więcej kochanemu księdzu donieść potrafię.

Mieszkamy w Brazylii, ale nasz stan Parana jest małą tylko cząstką tego olbrzymiego kraju. Jak wiadomo, ma Rzeczpospolita Zjednoczonych Stanów Brazylii 8,361.000 km. kw., a liczy około 17 milionów mieszkańców. Składa się zaś z 20 prowincyi czyli stanów: Amazonas, Para, Maranhao, Pianhy, Ceara, Rio Grande do Norte, Parahiba, Pernambuco, Alagoas, Sergipe, Bahia, Espirito Santo, Rio de Janeiro, Sâo-Paulo, Parana, Santa Catharina, Rio Grande do Sul, Minas Geraes, Goyaz, Matto Grosso i Muncipe neutro de Rio de Janeiro.

Parana ma tylko 240.000 km. kwadr., jest więc trochę mniejsza od królestwa Włoskiego, ale dotychczas jeszcze bardzo słabo zaludniona. Podczas gdy Włochy mają 32 miliony mieszkańców, Parana ma ich zaledwie 320.000.

Mieszkańcy dzielą się na tubylców i przybyszów; pierwszych jest do 200.000, a do nich należą: Indyanie czystej krwi, dzielący się na kilka szczepów, wśród których Botokudzi, mieszkający na pograniczu Parany i Santa Catharina, należą do najdzikszego szczepu na kuli ziemskiej. Do krajowców zaliczają się jeszcze Brazylianie leśni, tak zwani „cabuclos“,

są to potomkowie białych i Indyan; i Murzyni, potomkowie niewolników, sprowadzonych z Afryki, którzy dziś są już także tylko mieszańcami.

Przybyszów jest około 120.000, a wśród tych 70.000 Polaków, na resztę składają się Niemcy, Włosi, Portugalczycy i Maronici z Libanu; jest także trochę Francuzów. Kilku żydów przybyło także do Parany, zwabionych nadzieją szybkiego zbogacenia się.

Żywioł polski więc jest najliczniejszy wśród tutejszej emigracyi. Polaków spotyka się w całej Paranie już to na koloniach czysto polskich, już rozprószonych wśród Niemców, Włochów i Brazylianów. Niemców czystej krwi jest mało; mieszkają przedewszystkiem po miastach i częścią trudnią się handlem, częścią są rzemieślnikami; kolonistami są tylko Niemcy z nad Wołgi z państwa rosyjskiego, którzy we większej części są protestantami.

Parana nie jest jeszcze zupełnie znanym krajem, miejscami tylko prowadzi wąski szlak do sąsiedniego stanu Matto Grosso, z którym graniczy na północ; centralną granicę tworzy tu rzeka Parana-Panema; na południe graniczy ze stanem Santa Catharina i Rio Grande do Sul, naturalną granicę tworzą góry: Serra do mar i rzeka Uruguay; od zachodu naturalną granicę od Argentyny i Paraguaju stanowią rzeki: Pipiryguassu, Iguassu i Parana.

Klimat tu bardzo rozmaity, od gorącego podzwrotnikowego stopniowo aż do umiarkowanego, niemal europejskiego. Pochodzi to stąd, że Parana dzieli się na 2 nierówne części: pas nadmorski do 60 klm. szeroki, ma klimat podzwrotnikowy z wszystkimi płodami strefy gorącej; rodzi się więc wybornie kawa, bawełna, trzcina cukrowa, palmy w kilku odmianach. Reszta kraju zajmuje płaskozwyż, dochodzący aż do 1.000 metrów wysokości i tu jest klimat umiarkowany, suchy i zdrowy. Napotykają się tu jeszcze płody strefy gorącej, ale przedewszystkiem udają się tu owoce europejskie.

Niema atoli wiosny i jesieni, jest tylko zima i lato, które przypadają w odwrotnym czasie niż w Europie, a więc podczas

zimy europejskiej jest lato w Brazylii od października do marca. Zima jest całkiem inna od zimy europejskiej, rano i wieczór tylko chłodno, w południe zawsze ciepło, czasem upał taki, jak u nas wśród najgorętszego lata. Zieleń utrzymuje się przez cały rok, z niektórych tylko drzew opadają liście; kapusta, ziemniaki i inne mniej wybredne ogrodowizny rosną przez cały rok. Zdarza się czasem tylko mróz, termometr spada najniżej do 4^0 poniżej 0. My jeszcze nie doświadczyliśmy mrozu, choć przybyliśmy do Parany w sam środek zimy; kilka razy wczesnym rankiem był biały szron. Opowiadają, że przed 12 laty spadł śnieg na kilka cali; było to rzadkie, prawdopodobnie pierwsze zjawisko dla Brazylianów, którzy mówili, że zima przyszła za Polakami do Brazylii. Zdaje mi się, że mi jeszcze nigdy nie było tak zimno, jak tu w Brazylii, w gorącym kraju; tutejsze bowiem zimno jest dziwnie przenikliwe i wilgotne, a nadto są zbyt wielkie skoki w temperaturze. Dzień jest n. p. bardzo gorący, termometr wskazuje 26^0, za chwilę kryje się słońce za chmury i odrazu jest chłodno, są takie dnie, w których kilka razy jest bardzo gorąco i bardzo chłodno. Po słocie niebo się bardzo wypogadza, robi się na noc tak zimno, że z pewnością nastąpiłby mróz, gdyby nie mgła, która w każdej prawie nocy powstaje. Mgła w Europie znienawidzona, tu chyba wielkiem jest dobrodziejstwem, bez niej w ciepłych już nawet miesiącach, jak n. p. w październiku, zmarniałyby niejednokrotnie wszystkie zasiewy.

Temperatura bardzo niestała. Wrzesień był cały pogodny i bardzo gorący, ziemia, a zwłaszcza grunt gliniasty zmienił się jakby w kamień, miejscami porysował się grunt głęboko, niepodobna było sadzić; październik za to był bardzo słotny, z wyjątkiem kilku dni, padało wciąż. Listopad zaczyna być gorący, w ciągu dnia piecze słońce niemiłosiernie, ale ranki i wieczory są zawsze chłodne. Skoro tylko słońce zajdzie, w tejsamej chwili chłodno się robi.

Klimat bardzo zdrowy, choroby są bardzo rzadkie. Katar tylko z powodu niestałej i zmiennej temperatury, jest bardzo powszechny, panuje także zimową porą influenza i reumatyzm,

ale o innych chorobach mało się słyszy. Chorują wprawdzie ludzie na nerwy, podobno dość częste zachodzą wypadki pomięszania zmysłów, ale trzeba to raczej pijaństwu niż klimatowi przypisać. Ludzie dochodzą tu powszechnie do 100 lat i pomimo podeszłego wieku bardzo dobrze się trzymają. Jeden z najbliższych sąsiadów naszych ma 80 lat i pieszo biegnie co tydzień do Kurytyby, odległej 25 klm. od nas; tym, którzy mają po 70 lat przypisałoby się najwięcej 45 lat.

Dla tychto powodów nadała się Parana znakomicie na kolonizacyę dla naszych emigrantów. Znaleźli tu koloniści zdrowy prawie europejski klimat, glebę miejscami bardzo urodzajną, obfitość rozmaitych płodów, o których w Europie napróżno marzyli, niesłychaną swobodę i wolność, tu są niezależnymi panami, nikt w nic się im nie wtrąca, nikt ich nie dozoruje, podatków żadnych, służba wojskowa nie obowiązuje wcale, przynieśli tu dotąd krajowe zwyczaje i obyczaje, w kościele odprawia się im nabożeństwo polskie, jak niegdyś w ich kościółku parafialnym; żyją tu jednem słowem jak na glebie galicyjskiej.

Wracać nie myślą wcale, tylko ci, którym bujna wyobraźnia przedstawiała Brazylię jako ziemski raj, który im bez pracy w bród wszystkiego dostarczy, radziby wrócić i wciąż utyskują, bo pracować nie mają ochoty, a bez tego i w Paranie żyć nie można.

Niejednokrotnie pytałem naszych starych kolonistów galicyjskich z pod Jasła i Gorlic, czyby wrócić nie chcieli do Europy.

— „Nigdy“ — odpowiadają — bo w Europie mieliśmy straszną biedę; we dnie trza było pracować dla dziedzica, w nocy dla siebie, a bieda zawsze dokuczała; tu chleba mamy dość i jeszcze coś odłożyć można.

Tęsknili biedacy tylko z początku, gdy ich umieszczono w lesie. Trzeba było najpierw ścinać grube pinijory, palić całe podszycie lasu, motyką kopać ziemię, ściskać się w lichej naprędce zbudowanej chatce. Płaczu i lamentów było dość, ale zwolna zaczęli się dorabiać grosza, wybudowali sobie ładne

i porządne domy, nabyli konie i pług, a dziś mają niektórzy do 160 morgów ziemi.

Dobrze już stoi gospodarz w Galicyi, gdy w ciągu roku zabija dla siebie jednego lub dwa wieprze, tu chowają sobie po kilka sztuk i często co miesiąc sobie po jednemu zabijają; prócz tego roi się na podwórzu od kur i drobiu.

Wydatków mają niewiele, wszystkiego dostarcza im rola, potrzeba ich zmusza, że prawie wszystko sami sobie robią, choć są na kolonii szewcy, stolarze, krawcy, kowale, którzy równocześnie pracują w polu i rzemiosłem się trudnią. W ciągłej pracy płynie kolonistom życie; od rana do wieczora pracują w polu i około domu, praca ciężka i żmudna, ledwie wyplewią zielsko, a już po deszczu nowe wyrasta. Polacy słyną z pracy i pilności na całą Brazylię; przyznają to wszyscy, że w pracy nikt im nie dorówna. Na pole wychodzi cała rodzina, dzieci pięcioletnie już pracy imać się muszą. Pyszny to widok zobaczyć na polu cały szereg dzieci pracujących: jedne plewią, inne chróst znoszą do palenia, starsze motyką pracują. Chłopcy 10-letni sami już orzą i sieją, malec 6-letni jest już doskonałym jeźdźcem, z biedą się wprawdzie wdrapie się na konia, ale nie tak łatwo da się mu strącić. W razie potrzeby i dwóch chłopców na jednym siedzi koniu, jeden trzyma lejce, drugi trzyma się ramienia pierwszego.

Parana jest częścią pokryta lasem dziewiczym, częścią ciągną się okiem nieprzejrzane stepy, zwane tu powszechnie kępami. Gdzie las, tam ziemia bujna, nadaje się znakomicie na urodzajną glebę; na stepach ziemia jałowa, rodzi wprawdzie, ale należy ją dobrze i starannie uprawić.

Fauna i flora Parany bardzo bogata, znachodzą się tu takie okazy ze świata zwierzęcego, roślinnego i mineralnego, jakich niema w innych częściach świata.

Z pośród zwierząt wymienić muszę na pierwszem miejscu jaguara *(Felix onca)*. Afryka ma lwa, Azya krwiożerczego tygrysa, Ameryka nienasyconego jaguara. Trudno rozsądzić, któremu z nich należy się pierwszeństwo. Lew uchodzi za króla w świecie zwierzęcym, ale tygrys od niego straszniej-

szy, jaguar prócz tego najżarłoczniejszy; śmierć i zniszczenie siać wokoło, to najcharakterystyczniejsza jego cecha. Skosztowawszy raz ciała ludzkiego, urządza po prostu formalne obławy na ludzi.

Nazwa jaguar pochodzi od Indyan i znaczy tyle, co ciało psa, bo z kształtów nieco psa przypomina.

Jaguar żyje w całej Ameryce południowej aż do Stanów Zjednoczonych, najczęściej spotyka się go w Paranie i Santa Catharina; przebywa w lesistych okolicach nad rzekami i na bagniskach, porosłych wysoką trawą. Postrachem jest dla całej okolicy, rzuca się na konie, woły, muły, jednym skokiem wskakuje na ofiarę, rozdziera kark i zabija. Mniejsze zwierzęta pożera zupełnie i razem z kośćmi pochłania, z większych zjada tylko niektóre części, resztę pozostawia sępom. Na żer wychodzi zazwyczaj tylko nocą, ale i we dnie poluje, gdy mu głód dokuczy. Napada poblizkie domy, zabiera krowy i nierogaciznę. Jest mniemanie, że rzuca się na Murzyna lub Indyanina wprzód niż na białego, gdy ich razem spotka.

Dla znacznych szkód, które wyrządza, powszechnie nań polują. Niedościgłymi są pod tym względem Indyanie. Z łukiem z bambusu i małemi delikatnemi strzałami z cierni, których kończyny zaprawiane są trucizną, wychodzą na polowanie. Strzał ich tak celny, że nie chybi nigdy, rana tak mała, że jaguar żadnej nie zwraca uwagi, ale niebawem zaczyna działać trucizna, siły go opuszczają i odurzony, pada na ziemię. Konfratrzy nasi z Kurytuby spotkali podczas zeszłorocznych wakacyj Indyanina, który podobno sam 50 jaguarów ubił.

To też liczba ich bardzo maleje. Dawniej rokrocznie wysyłano do 2.000 futer do Europy; obecnie jaguar czarny już jest bardzo rzadki, z biegiem czasu wyginie i jaguar centkowany.

Za kilkanaście milrejsów można nabyć duże ładne futro w Kurytybie; na miejscu wśród Indyan dostaje się je za lada drobnostkę. Mięso z jaguara jedzą tylko Botokudzi.

W naszych okolicach niema jaguara, ale bardzo wiele jest ich jeszcze na Lucenie w tamtejszych lasach dziewiczych. Jaguara tu powszechnie tygrysem nazywają.

Parana ma także kilka gatunków kotów w rodzaju lwa, z tą tylko różnicą, że są daleko mniejsze i mniej drapieżne. Najważniejszym przedstawicielem tego gatunku jest lew amerykański czyli tak zw. puma *(Felis concolor)*. Indyanie nazywają go guazuara. Znachodzi się również w całej Ameryce południowej. Ciało ma smukłe, głowę stosunkowo za małą, nogi silne, opatrzone długimi ostrymi pazurami, sierść ciemna, gęsta i pulchna. Trzyma się brzegu lasów, również chętnie przebywa na moczarach, porosłych trawą. Człowieka się boi, a z ofiary najprzód krew wysysa.

Kilka pokrewnych gatunków trzyma się nawet wśród osad ludzkich w lesie. Przed kilku tygodniami przyprowadzono nam na powrozie jedno takie zwierzę.

Kot i pies dziki mają tu być powszechne.

Bardzo pospolitymi są tu pancerniki, zwane także mrówkojadami *(dasypodes)*. W dawniejszych epokach dochodziły olbrzymich rozmiarów, jak nosorożec, wielkości wołu były najpospolitsze gatunki, dziś są wszystkie karłami, dochodzącymi najwięcej do 3 stóp długości.

Prawie wszystkie pancerniki są mieszkańcami Ameryki południowej; w Paranie żyją dwa gatunki, obydwa bardzo pospolite, bo żyją wszędzie na polach, kępach, w ogrodach i w pobliżu lasu. Żyją w ziemi, w której kopią sobie nory i chodniki. Jama u wejścia jest kolista, chodnik kilka metrów długi, rozszerza się coraz więcej i kończy się norą, dostatecznie obszerną, by się w niej pancernik mógł swobodnie obracać.

Ciało ma krępe, pokryte silnym pancerzem, ogon średnio długi, również pokryty łuskami, pyszczek wydłużony w ryjek, uszy jak świnia, nogi o pięciu dużych rogowych pazurach. Żywi się mrówkami, owadami, w czasie głodu korą, roślinami, nawet padliną nie gardzi. W dzień siedzi w norze, o zmroku wychodzi na żer; napadnięty, ratuje się ucieczką

i w mgnieniu oka do ziemi się zagrzebuje. Nie umie ani pływać, ani po drzewach się spinać, ale za to jest najzręczniejszym grabarzem wśród wszystkich zwierząt. Choć taki pospolity, trudno go spotkać, widzi się tylko wciąż jamy i miejscami jest ich tyle, że ciężko przychodzi tędy konno przejechać.

Poluje się na pancerniki przy świetle księżycowem. Indyanie i leśni Brazylianie jedzą wszystkie gatunki, Polacy tylko te, które mają świński ryjek, a brzydzą się tymi, co mają psi ryjek. Mięso ma być bardzo delikatne; w niektórych miesiącach są pancerniki tak tłuste, że zamiast mięsa mają same tylko warstwy tłuszczu. Indyanie nazywają pancerniki „tatu“, stąd powszechna i ogólnie znana nazwa w całej Brazylii. Polacy nazywają go „tatko“.

Również bardzo pospolitemi są:

Aguti pospolity *(dasyprocta aguti)*, złoty zając, żyjący w lesie.

Paka *(Coelogenys Paca)* należy do gryzoniów, jak i poprzedni. Gruba głowa, oczy duże, wysokie odnóża. Żyje w całej Paranie, trzyma się brzegu lasów i tu kopie sobie w ziemi jamę, na 5 stóp głęboką. Tylko nocą wychodzi na żer, żywi się roślinami, kwiatami i różnymi owocami. W lutym i w marcu bardzo tłusty, mięso ma wyborne, dlatego bardzo poszukiwany.

Świnia wodna *(Hydrochoerus Capybara)* zwana pospolicie kapywar. Z pośród gryzoniów tutejszych jest to największy okaz. Z kształtu i szczecinowatej sierści przypomina świnię i stąd jego nazwa. Żyje od rzeki Orinoko aż do La Plata nad brzegami rzek i jezior.

Kapywar jest bezogonny, uszy ma krótkie, górną wargę rozłupioną, pletwy między palcami i dlatego jest doskonałym pływakiem. Całe ciało jest krępe, kark krótki, głowa wydłużona o dziwnym wyrazie, tylne odnóża znacznie dłuższe od przednich; przednie nogi mają 4, tylne 3 palce. Uzębienie najciekawsze: siekacze niezwykłej wielkości i szerokości, na przedniej stronie mają kilka wyżłobień, zęby trzonowe po 4 w każdej szczęce bez korzeni i jakby z liści złożone. Pływa

wybornie, ale tylko w potrzebie, zresztą pasie się spokojnie na brzegu, żywi się roślinami, korą i kukurudzą.

Jest to zwierzę spokojne i łagodne. Mięso z niego ma być tak delikatne jak cielęcina, ale dla nieprzyjemnej woni brzydzą się niem Europejczycy. Zabito już niejednego tuż nad rzeką, co obok nas płynie. Największym jego nieprzyjacielem jest jaguar, któremu pada ofiarą, ilekroć razy tylko nad wodą poluje.

I zając jest tu pospolity, daleko mniejszy od europejskiego, żyje po polach. Po lasach i po polach żyją sarny, ale tępią je niemiłosiernie, po koloniach znikły już prawie zupełnie. Każdy prawie kolonista ma strzelbę, polowanie nie objęte żadną ustawą, każdy poluje, kiedy mu się tylko zechce, las uważany za wspólną własność, zwierzęta też do wszystkich należą. Dlatego też kolonie są ubogie w zwierzynę, która ustawicznem strzelaniem do reszty bywa spłoszona.

Dawniej były tu małpy bardzo pospolite, dziś są już dalej w lasach. Kilka gatunków wesołych i zabawnych tych zwierzątek żyje w Paranie. Najpospolitsze są wyjce (*mycetes*), które nieznośnem wyciem napełniają las, i gatunek, znany pod łacińską nazwą *cercopithecus*. Małpy tego gatunku sprowadzają najczęściej do Europy. Są to też najzabawniejsze zwierzęta, a zarazem największe szkodniki. Stadami całemi wybierają się na pola kukurudzowe. Stary doświadczony samiec idzie na czele na 2 nogach, oglądając się pilnie, czy nie grozi jakie niebezpieczeństwo, samica z młodemi idzie za nim. Zniszczyć potrafią całe pole, nietylko najedzą się do syta, ale całe masy z sobą w schowkach unoszą, a czego zjeść i zabrać nie zdołają, niszczą zupełnie.

W lasach żyje jeszcze w Paranie tapir; na stepach wilki i lisy.

Z ptaków w pasie podzwrotnikowym tukany, papugi w kilkunastu odmianach, kolibry są w całej Paranie, dzikie gołębie, cudowne dzięcioły, dzikie indyki (*jacutinga*), tysiące drobnego, różnokolorowego ptactwa, przepiórki i kuropatwy bardzo pospolite, dwa gatunki jaskółek, ptactwa wodnego

dosyć, czaple, gęsi, dzikie kaczki i kurki wodne. Na wiosnę przelatują całe stada prześlicznych amazonek. Są orły i kilka odmian jastrzębi mniejszych i większych. Bardzo pospolity jest sęp, zwany przez krajowców urubić, t. j. czarny ptak. Brazylianie nazywają go „corvo brasileiro“, t. j. kruk brazylijski, a koloniści „glapą“, bo z daleka wronę przypomina. Jest to ptak bardzo pożyteczny, bo zjada padlinę; gdyby nie te ptaki, niepodobnaby było wyżyć w niechlujnych miastach tutejszych, gdzie się padlinę wyrzuca bez wszystkiego na ulicę. Kara pieniężna jest ustanowiona, gdyby go kto zabił, bo też ptak to bardzo łaskawy i śmiały, stadami całemi siedzą na domach w miastach amerykańskich. Jest i wróbel amerykański, t. j. mały ptaszek, z kształtów i obyczajów przypomina wróbla europejskiego, ładniejsze ma tylko upierzenie. Niemniej dowcipny od naszego, trzyma się w pobliżu mieszkań ludzkich, odrazu zmiarkuje, gdzie kuchnia, i w równy sposób potrafi wydziobać wszystko, co się kurom rzuci.

Co się tyczy gadów i płazów, taka tu obfitość i rozmaitość, że napróżno kusiłbym się na ich wyliczanie i pobieżny tylko opis, poprzestanę więc na razie na krótkiej o nich wzmiance.

Już ostatnim razem pisałem kochanemu księdzu, że w Paranie wiele jest wężów i jadowitych żmij. Spotyka się je wszędzie: w lesie, w ogrodzie, w polu, na kępie, w podwórku, na drzewie, na drodze. Pokąsały one już sporo ludzi. Zapewne w opowiadanich jest wiele przesady; węże biorą częstokroć za żmije, i u nas uważają tak pospolitego zaskrońca za bardzo jadowitą żmiję i boją się padalca. Zaprzeczyć jednak nie można, że tu wiele jadowitych żmij, że trzeba być wszędzie bardzo ostrożnym, bo lada gdzie wygrzewa się jakiś gad na słońcu. Oto przykład: wracałem w tym tygodniu z katechizacyi. Wtem jeden z chłopców, idący tuż obok mnie, zawołał: ostrożnie, bo żmija. Przedemną żmija przeszła 1 metr długa. Inni chłopcy w mgnieniu oka uzbroili się w kije i sztachety, otoczyli ją w półkole; jeden z nich ostrożnie na palcach zachodzi z tyłu i jednym ciosem rozmiażdżył jej głowę.

Miała to być żmija bardzo jadowita, znana pod nazwą indyjska „jajaraca“ (ziaziaraka). Tymczasem zdaje mi się, że ten właśnie gatunek zupełnie nie jest szkodliwy, że należy do rodziny, do której zaliczają w Europie żyjącą *Zamenis viridiflavus* lub *atrovirens*. Nazwa tego węża byłaby *Spilotes poecilostoma*, okaz wspaniały i bardzo pożyteczny.

Lecz oto wszedłem kilka kroków, a ten sam chłopiec drugą zabił żmiję, również jadowitą, zwaną „papapintu“. Inne żmije znane są pod nazwą: *guatiara bacurais*, czerwonego koloru.

W całej Brazylii pospolity jest gad z rodziny *herpetodryas*, jeden z najokazalszych z tego gatunku; z wierzchu koloru oliwkowego, z boku pomarańczowego, z dołu zielonego w wszystkich odcieniach. Dochodzi do 7 stóp długości, całkiem nieszkodliwy. Jest podobno na naszej kolonii kobieta, którą żmija ukąsiła zeszłego roku, zaledwie ją uratowano; w tych znowu dniach sięgnęła po jaja w kurniku. Ciemno już było, a nieszczęście chciało, że żmija w sam raz po jajka się zakradła i już po raz drugi ją ukąsiła.

Jak wszędzie, tak i tu najrozmaitsze są lekarstwa przeciwko ukąszeniu od żmii. Mieszka także na naszej kolonii Brazylianin, który trucizną, wydobytą z tutejszych roślin, skutecznie podobno leczy. Jeżeli rzeczywiście żmija ukąsiła, choremu uratuje życie, w przeciwnym razie ginie pod wpływem tej trucizny. Lekarstwo w każdym razie ryzykowne.

Z innych gadów zasługują na uwagę krokodyle amerykańskie, czyli tak zwane kajmany. Najpospolitszy *Champsa scelerops*, dochodzący do 12 stóp długości; w zatokach morskich, kilka mil od nas, w większych rzekach roi się od tych obrzydliwych i wstrętnych zwierząt.

Coś podobnego do nich są na lądzie jaszczury. Dziwiliśmy się w Afryce licznym jaszczurom, wielkości kameleona, tu u nas tak pospolite i powszechne jaszczury, przypominające co do kształtu i wielkości krokodyle. Przez całą zimę spały, teraz się zjawiają. Gdy się je pierwszy raz widzi, skóra cierpnie na człowieku i uciekać się chce — tymczasem są to

całkiem nieszkodliwe zwierzęta. Jeden z nich plamisty *Tropidurus torquatus* jest 14 cali długi, obrzydliwy, drugi jeszcze pospolitszy, zielonego koloru, *podinema Tequixin,* zwany tu także „teju“, dochodzi do 20 cali. Trzyma się w pobliżu domów, nieraz go widzę, bo zjada jajka kurom. Brazylianie jednego i drugiego gatunku poszukują, bo jaszczur ma podobno wyborne, bielutkie i delikatne mięso. Brazylianin nie je ani gęsi, ani kaczki, bo mu węża przypominają z kształtu szyi, ale za to nie brzydzi się jaszczurami, których sam widok wstrętem i odrazą przejmuje. Tłuszczu z jaszczurów używają z wódką.

Trzeba też o tutejszych żabach wspomnieć. Jest ich tu niezliczona moc, podobne do naszych żab, niektóre gatunki wiele większe. Ale u nich jest to charakterystyczne, że dziwne wydają głosy. Zdaje się, że gdzieś dziecko kwili, głos tak łudzący, że trudno go żabie przypisać, bo w Europie nic podobnego się nie słyszało. Inne wydają takie głosy, jak świst i gwizd piszczałki, lokomotywy, turkot wozu, inne, jakby gdzieś w dali ujadała zgraja psów. Niema w tem żadnej przesady. W ich głosach cała skala harmonijnych tonów, różne koncerta, bo każda gromada, w moczarach ukryta, na własną rękę wydaje koncert. To też nic przyjemniejszego, jak wieczorem wsłuchiwać się w ten koncert różnorodny — dodać jeszcze śpiew różnych cykad i piewików, roje owadów świecących, noc cichą i pogodną, niebo zasiane całkiem innemi gwiazdami, niż u nas, i ma się to, co duszę porywa do piękna nieskończonego.

Rzeki Parany mają być rybne, w mniejszych przynajmniej rzekach znachodzą się tylko małe rybki; wspominają o smacznych rybach „surubi“ i „mancuruji“, ale jeszcze ich nie widziałem.

Parana jest bardzo bogatą w owady i motyle różnego kształtu i koloru; z dniem każdym w miarę, im cieplejsze nadchodzą dni, pojawiają się coraz piękniejsze gatunki; od chrząszczów wieczornych, w rodzaju i z rodziny żuków, aż w powietrzu szumi.



Kościół i plebania XX. Misyonarzy w Thomaz-Coelho.

Co do flory parańskiej, trudno mi jeszcze dziś coś obszerniej opisać, bo znachodzą się całkiem nowe gatunki i okazy których niema w Europie.

Charakterystycznem a zarazem jedynem drzewem szpilkowem jest *araucaria brasiliensis* tak zwany „pinheiro“ (pinijejru) nazywają go koloniści pospolicie „pinjor“. Kurytyba ma stąd swą nazwę, bo po indyjsku „Kori“ znaczy pinheiro, a „tyba“ wiele czyli wiele drzew. Rośnie tu palisander, tu zwany „jacaranda“ (ziakaranda), imbuja, śliczne, twarde, ogniotrwałe drzewo, zwane *bignonia brasiliensis*, jest cedr, *cedrus brasiliensis*, miejscami bardzo pospolity. Nasi koloniści palili te drzewa i dziś je jeszcze palą, jak n. p. na Lucenie.

Najważniejszem drzewem, bo bogactwem dla Parany, jest „herwa maté“, którego liście i łodygi dostarczają znakomitej herbaty brazylijskiej, najważniejszego produktu wywozowego Parany.

Myrt rośnie tu wszędzie dziko, wawrzyn i pieprz są również bardzo pospolite. Niektóre drzewa są jadowite; od ukłucia spuchnie ręka. Dziś przypadkiem zadrasnąłem się lekko kolcem takiego drzewa a odrazu spuchła i zsiniała mi ręka, a ból przytem szczypiący.

Z drzew owocowych udają się wybornie drzewa pomarańczowe, figi, brzoskwinie i ameixy (ameisze), znane u nas pod nazwą nieszpułki. Wyborny to owoc, bardzo soczysty i żadne owady go się nie chwytają.

Kwiatów tak wiele, że należałoby Paranę Florydą nazwać. Kwitną tu drzewa w lesie w najrozmaitszych kolorach, kwitną krzaki, kwitną trawy, po kępach, w lesie i po polu tysiączne kwiaty. W wazonikach w Europie starannie chodowane kwiaty — tu dziko rosną, codzień nowe pojawiają się kwiaty. W ogrodach, obok wszystkich kwiatów europejskich, rozwija się całe bogactwo i obfitość kwiatów podzwrotnikowych.

Paproci, kaktusów niesłychane bogactwo; wzdłuż płotów i domów wiją się całe girlandy białych, czerwonych i żółtych róż.

Świat mineralny jeszcze niezbadany; to tylko pewnem, że jest złoto w górach i w rzekach, że są podobno dyamenty w jednej z rzek parańskich, że w ziemi kryje się niesłychane bogactwo rud żelaznych. Znajdowano wyborny węgiel na samej powierzchni. Nietylko nie wyzyskano tych bogactw, ale nie zrobiono jeszcze właściwie ani jednego kroku w tym kierunku.

Kraj prawie że dziki jeszcze, bez kolonistów i to Polaków, mało co, byłby świat słyszał o Paranie: była ona tylko kolonią deportacyjną dla zbrodniarzy. Koloniści nasi wzięli się do systematycznej uprawy roli i dzięki ich pracy Parana zmieniła się w kilku latach do niepoznania.

Z przybyciem pierwszych kolonistów była Kurytyba nędzną mieściną, to jest aglomeracyą kilku drewnianych bud bez okien, z ogniskiem w środku. Gubernator boso chodził, dziś to wielki pan, wszystko się stroi po europejsku, we fraki i kołnierze angielskie, a Kurytyba stała się miastem europejskiem.

Jak już wspomniałem, nadaje się Parana na razie najlepiej do rolnictwa i wszyscy nasi koloniści, z małym tylko wyjątkiem, są też rolnikami. Rolnictwu sprzyja klimat łagodny i gleba urodzajna, a w dodatku opadów atmosferycznych jest dosyć.

Ziemia rozmaita: miejscami pulchna, bujna, tuż obok cała połać lichej jałowej gleby; miejscami jest czarnoziem, gdzieindziej czerwona glina, to znowu fioletowa, żółta — zależy to od zawartości soli mineralnych. Czerwona glina uchodzi powszechnie za najlepszą ziemię.

Uprawa ziemi bardzo prosta. Trzeba wprzód przygotować grunt. W tym celu ścina kolonista pinijory, cedry, ambuje i t. d., również trzciny i liany, t. j. najrozmaitsze gałęzie z sobą powikłane i powiązane i w dniu słonecznym pali. Grunt czyli ziemia pod glebę już przygotowana. Pnie drzew powoli jeden po drugim wykopuje lub czeka, aż same zbutwieją w ziemi.

Na ziemi po spaleniu zoranej rodzi się znakomicie bez jakiegokolwiek innego nawozu. Z biegiem lat, gdy grunt jałowieje, zostawia go się odłogiem. Ziemia porasta (odrazu) krzakami, zwane tu rossami, dochodzą one wysokości drzew; znowu się je ścina i pali.

Sieją tu żyto i dobrze się udaje. Żniwa koło Bożego Narodzenia. Chleb czarny znajduje się już na stole bogatych Brazylianów w mieście; dawniej nie znali go wcale, bo zamiast chleba, mieli tylko farinha (farinja), t. j. mąkę manjokową. I słoma ma popyt, bo sieczka bardzo poszukiwana dla koni i mułów.

Sieją także na większą skalę kukurudzę białą i żółtą; całe łany są nią zasiane; z brazylijska nazywają ją miliją (milko). Czas posiewu trwa od września do grudnia, a dojrzewa od marca do maja.

Fasola czarna, fiżon (feijao), w Brazylii bardzo powszechny i niezbędny artykuł. U bogatego i ubogiego Brazylianina znajduje się ona na stole, w dzień powszedni i w największe uroczystości ją podają. Posypane mąką manjokową jest dla nich specyałem. Przyjąć u siebie Brazylianina i do obiadu nie podać fiżonu, to prawie obraza dla niego.

Pszenicy, jęczmienia i owsa nie sieją prawie i podobno nie udają się te gatunki zbóż na każdym gruncie.

I ziemniakom gleba tutejsza najlepiej nie służy, często pada na nie rodzaj zarazy, nać czernieje i usycha wprzód, nim się bulwy zawiązały. Tak się znowu w tym roku stało. Nazywają je Brazylianie „patuta inglesa“, bo prócz nich jest rodzaj słodkich ziemniaków „patuta doce“ (dossé), te mają także bulwy podziemne ogromne, ważące nieraz kilka funtów.

Do uprawy udaje się jeszcze „manjok“. Jest to roślina, zawierająca soki trujące w stanie świeżym, bulwy przypominają georginie, tylko większe, bo dochodzą do łokcia długości. Odpowiednio przyrządzone dostarczają mąki, t. j. tej właśnie farinij, która Brazylianom zastępuje chleb i którą posypują zwykle potrawy. Zdaleka wygląda to jak trociny,

obrzydliwe w najwyższym stopniu, siedzieć razem z Brazylianami przy stole, to znaczy nie dotknąć się żadnej potrawy, bo apetyt traci się zupełnie.

Cebula udaje się znakomicie, lecz racyonalnie uprawiana, nie zawiodłaby z pewnością. Dynie, arbuzy, melony, kawony i ogórki rodzą się dobrze; w ogrodach można mieć przez cały rok ziemniaki, sałatę i kapustę; widziałem tu już ogromne głowy kapusty.

Tak więc dla rolnictwa dostarcza Parana szerokiego pola pracy, ale za to handel i przemysł, dwa inne źródła bogactwa i dobrobytu kraju, w kołysce jeszcze. Prócz kilku matarni, t. j. młynów dla przemielenia herwa maté, kilku rafineryi cukru, gorzelni, browarów, wyrabiających liche piwo, prócz niewielu młynów wodnych, tartaków, kilku warsztatów stolarskich i jednej fabryki zapałek niczem więcej Parana pochwalić się nie może.

Kraj jeszcze słabo zaludniony; prócz Kurytyby, Ponta-Grosso i portowych miast, wszystkie inne nie zasługują już nietylko na nazwę miasta, ale gorsze są i nędzniejsze od pierwszej lepszej wioski galicyjskiej; stąd nic dziwnego, że nie mógł się jeszcze przemysł rozwinąć. Z biegiem atoli czasu dla obfitości surowego materyału, zwłaszcza gdy napłyną tu Europejczycy, z gotowym kapitałem zakładania fabryk, kopalń i hut żelaznych przemysł rozwinąć się może.

Na razie sprowadza się wszystko z Europy. Dla ogromnych zaś kosztów transportu i wprost bajecznego cła, zakupno drobnych nawet rzeczy naraża na wielkie koszta. Sprowadzają nawet budulec masami z Norwegii i Finlandyi choć tu lasy obficie dostarczają drzewa tak budulcowego, jak meblowego w najlepszych gatunkach.

Handel jest wyłącznie prawie w ręku Niemców i Portugalczyków, zajmują się nim oczywiście i Polacy, o ile dostarczają płodów do miast; sklepy mniejsze czyli tak zwane tu wendy na koloniach i w mniejszych miasteczkach mają przedewszystkiem Polacy. Lepiejby się rozwijał handel, ale sam rząd go tamuje, zabija go po prostu, nakładając na naj-

drobniejsze rzeczy cło i stemple. Zapałki, świece, tytoń i inne drobiazgi wszystko to musi być zaopatrzone stemplami. Ogromny to wprawdzie przynosi dochód państwu, ale tem samem niweczy i tak słabo rozwinięty handel.

Mało co płodów wychodzi za granicę a i jest to zbyt uciążliwem z powodu cła wywozowego. Wywóz z Parany wynosi rocznie około 15 milionów koron, z tego przypada 12 milionów na samą herwa maté, idącą do Argentyny i Uraguaju. Sprowadzona została i do Galicyi, ale źle przyrządzona nie znalazła zwolenników i już chyba nie tak prędko będzie importowaną.

Wywożą również skóry, rogi, miód i wosk. Ostatnie dwa artykuły mogą mieć w przyszłości donośne znaczenie, bo pszczelnictwo popłaca w Paranie. Pszczoły pracują przez cały rok przy obfitości wszelkich kwiatów; nic też dziwnego, gdy ul w ciągu roku wyroi się do 16 razy.

Cośkolwiek wspomnieć wypada o ustroju Parany.

Parana, jako nierozdzielna część Zjednoczonych Stanów republiki brazylijskiej stanowi także państwo republikańskie, związkowe, konstytucyjne i reprezentacyjne.

Na czele państwa stoi prezydent, wybierany na 4 lata, sprawuje on władzę wykonawczą. Prezydenta i wiceprezydenta wybiera się przez głosowanie w całym stanie.

Cała rzeczpospolita Brazylii, a więc i Parana, uznaje tylko ślub cywilny, religia w zakładach naukowych publicznych jest wykluczona.

Smutne to objawy w katolickiem zresztą państwie, nie rokują one długiej i pomyślnej przyszłości całej republice.

W rządzie mało jest ładu, sprawiedliwości żadnej, każdy działa na swoją rękę, a za pieniądze gwałci najświętsze prawa. Raz po raz słychać o przekupstwie zbrodniarzy, morderców i fałszerzy pieniędzy wypuszczają na wolność, jak tylko wykupić się potrafi. To też mnożą się publiczne gwałty, rabowanie kas, fałszowanie pieniędzy tak rozpowszechnione, że wciąż kursują fałszywe pieniądze; morderstwa na dziennym porządku w Kurytybie i po koloniach. Zabić człowieka — to

drobnostka. Obraził mnie, nie chce ustąpić, mam do niego żal, niech więc ginie i z zimną krwią zabija przeciwnika. Nóż to nieodstępny towarzysz Brazylianina, nosi go za pasem, by każdej chwili módz pchnąć nim tego, kto mu w drodze stanie.

Przeszło to i do kolonii polskich, bójki częste, zabójstwa się zdarzają. Krótko przed nami tuż na granicy naszej kolonii zastrzelił jeden z Polaków chłopaka, drugiego postrzelił; niedaleko nas nożem przebił jeden drugiego, w dwa dni potem stało się to samo w sąsiedniej kolonii.

Wśród tutejszej brazylijskiej inteligencyi po miastach, jeżeli godzi się ich zaliczać do niej, panuje wielka obojętność religijna, kompletna ignorancya, a wolnomyślniejsi, nie chcąc w cywilizacyi pozostać w tyle za Europą, zapisują się do masoneryi. Kilku duchownych zaledwie jest w Kurytybie, ale wygląda to jakoś po europejsku, gdy powstaje stronnictwo antyklerykalne.

Brazylianie leśni, tak zwani „cabuclos“ czyli Kabukrzy, jak ich nazywają koloniści, są religijni, ale po swojemu. Do kościoła chodzą rzadko, jest to zresztą po największej części niepodobieństwem, bo mieszkają nieraz do 20 mil od najbliższego kościoła; w kościele w najlepsze rozprawiają i cygarka palą. Do spowiedzi nie chodzą nigdy, wierzą we wszystkie Sakramenta święte, ale w praktyce uznają tylko chrzest. Ślub sami sobie dawają, przy sposobności nieraz po kilku dopiero latach proszą o błogosławieństwo; przed śmiercią nie żądają nigdy ostatnich Sakramentów świętych.

Mają jednak chwalebne zwyczaje i ujmujące cnoty domowe. Dzieci rano i w wieczór całują rodzicom ręce; ile razy wychodzą na dłuższy czas z domu, taksamo rano i wieczór z złożonemi rękami stoją przed ojcem, który ich błogosławi znakiem krzyża św. Nie naruszą nigdy cudzej własności, bez pozwolenia nie zbliżą się nawet do obcego mienia, są gościnni i życie prowadzą bardzo skromne.

Nędzna chata bez okien, to ich mieszkanie: w środku na ziemi ognisko, przy ścianie jakaś prycza — to łóżko; to wszystkie zarazem sprzęty. Na śniadanie wypiją po kilka fili-

żanek „herwy maté“ bez cukru, mężczyźni i kobiety wypalą kilka cygar lub fajeczek i to im starczy do godziny 10-tej, o której jest właściwe śniadanie, które stanowi trochę fiżonu z fariniją manjakową, trochę ryżu i maleńka filiżanka kawy czarnej. Obiad jest o godz. 4 popołudniu, znowu tylko fiżon i ryż i cygara.

Takie życie prowadzi i bogaty cabuclo, t. j. taki, który ma kilka mil ziemi i całe stada koni, krów, wołów i mułów, to też każdy z nich blady, wychudzony, cieńki i paskiem ściągać się musi.

Wielu z nich ma cerę prawie czarną, kobiety natomiast i dziewczęta są białe i przypominają żydówki galicyjskie.

Język inteligencyi brazylijskiej jest czysty gramatyczny język portugalski; język leśnych Brazylianów jestto mięszanina języka portugalskiego i trochę indyjskiego; jest o wiele prostszy i niegramatyczny.

Brazylianie mają wielką jedną wadę, t. j. są niesłychanie leniwi i mało dbają o porządek. Brazylianin ma wiele ziemi, a z głodu przymiera, bo mu się pracować nie chce; dziś, gdy ma co do zjedzenia, kontent sam z siebie i z wszystkich, ale o jutrze nie myśli. Przez cały dzień siedzi bezczynnie albo marzy. W Kurytybie w każdym domu wysiadują panie i panienki brazylijskie, gapiąc się bezmyślnie na przechodniów i popijając czarną kawę.

Jest wkońcu u Brazylianów i to ciekawem, że kobiety podobnie jak u żydów nie idą za trumną na cmentarz; pozostają w domu, z okna tylko żegnają po raz ostatni pochód żałobny.

Wśród takich to na wpół dzikich jeszcze ludzi osiedli koloniści, o cywilizacyi nieskończenie wyższej, wnosząc w kraj nowe prądy i nowe życie. Od nich nauczyli się i uczą się jeszcze Brazylianie wszystkiego prawie, ich przykładem zagrzani i zachęceni, uczęszczają częściej do kościoła i Sakramentów św.; uczą się pracy na roli i w domu.

Kolonie polskie są bardzo liczne w Paranie — nie znam jeszcze wszystkich; niektóre tylko z nich mają polskiego ka-



XX. Misyonarze z Krakowa i Konfratrzy brazylijscy.

płana. W najbliższem sąsiedztwie naszem jest kolonia Araukaria, zwana także Iguassu, gdzie wielu jest Polaków, osiadłych wśród Brazylianów. Proboszczem jest ksiądz Soja, człowiek już wiekowy i wyczerpany. Dawniej pozostawała nasza kolonia w pewnej zależności od tego probostwa, dziś już niezależnem jest probostwem. Z drugiej strony jest kolonia Orleans, gdzie osiadło wielu kolonistów z Prus Zachodnich i Galicyan; potrzeby ich zaopatruje ks. Miętus. Pod Kurytybą na Abranches jest proboszczem ks. Leon Niebieszczański. Wszyscy ci księża są eks-Bernardynami. Na kolonii S. Mateus jest ks. Smołucha, w Aqua Bianca ks. Wróbel, kapłan gorliwy i świątobliwy, powszechnie bardzo poważany; na Prudentopolis jest ks. Rymar. Na ogromnej, bo największej kolonii Lucenie, jest ks. Wołącewicz. Tę to właśnie kolonię ofiarował nam ks. biskup z Kurytyby, szerokie pole pracy, punkt wyborny, bo jest na granicy stanu Santa Catharina, gdzie jest coś 15.000 Polaków, rozprószonych wśród Niemców. Wieści oczekujemy niecierpliwie z Krakowa, ochotników nie zabraknie, tem więcej, że to najpiękniejsza kolonia, same lasy dziewicze, pełne dzikiego zwierza, małp, ptaków itd.; ta kolonia ma, zdaje mi się, największą przyszłość.

Już nam ks. biskup oddał misye w dyecezyi; każdy z nas na piśmie otrzymał upoważnienie odprawiania misyi w jakiejkolwiek parafii. Na razie nie odprawiliśmy jeszcze żadnej; krótko tylko byłem w zastępstwie na Abranchas i w Porta Grosso.

Ks. Niebieszczański wyjechał na 10 dni do Prudentopolis, przez ten czas go zastępowałem zaraz po narodzeniu Matki Najśw. W ślicznem położeniu jest Abranches; kościół ma duży, plebanię murowaną, małą wprawdzie, ale bardzo ładną. Budował ją ks. Gurowski, który tu był 13 lat; obecnie jest w klasztorze u OO. Bernardynów w Tarnowie. Siostrom z Moszczan dobrze jest znany jako ich kilkoletni kapelan, tam także go poznałem. Kościół stawiał ks. Dziadkowiec, niektórym konfratrom znany.

Wokoło Abranches jest kilka innych kolonij, należących do tegosamego probostwa jak Lamenia wielka i mała, Kandyda i t. d. Niemal wszyscy pochodzą z Prus Zachodnich z pod Pelplina, częścią są rolnikami, częścią idą za zarobkami daleko, czasem aż do Argentyny. Dziewczęta służą w mieście za 30—40 milrejsów, t. j. około 35—50 koron miesięcznie, ale to im się mało wydaje.

Pijaństwo tu powszechne, z małym tylko wyjątkiem, jeden w drugiego skończonym pijakiem; piją kobiety, piją butelkami wódkę nawet dziewczęta. Młodzież po większej części wycieńczona wskutek nadmiernego trunku. Młode pokolenie tu już wyrosłe jest na wpół dzikie, o obowiązkach religijnych nie mają pojęcia, nikt ich nie pouczy.

Doznałem tu wielkiej pociechy. Kiedy bowiem w kazaniu potrąciłem o wódkę i używać jej zakazałem, zdziwili się wszyscy, jeszcze nic podobnego nie słyszeli. Mówiono im wprawdzie, że upijać się nie trzeba, ale w Brazylii dobrze jest używać wódki, zresztą tu sami księża się nią częstują. Zrobił się ruch w całej parafii, nałogowi pijacy tłumnie przychodzili do Spowiedzi św., przyrzekając, że raz na zawsze zrywają z wódką; spowiadałem od rana bez przerwy aż do godziny 2-giej popołudniu. Bóg pobłogosławił tej pierwszej pracy za obrębem naszej parafii.

Po powrocie z Abranches wyjechałem zaraz do miasta Ponta Grosso na życzenie biskupa, by trochę pospowiadać tamtejszych kolonistów, nie mających zupełnie kapłana rodaka. Kolej dochodzi do samego miejsca. Na wprost nie byłoby dalej nad 18—20 mil, koleją jednak z powodu kołowej linii będzie do 30 mil; o godz. 8 wyjeżdża się z Kurytyby, a jest się dopiero na miejscu o godz. 4 popołudniu, choć kolej idzie z szybkością naszych pociągów.

Zobaczyłem sobie już dobry kawałek Parany. Idzie zrazu kolej lasem wzdłuż rzeki Iguasso; las rzednieje i kilka mil za Kurytybą są już same tylko stepy. Niema się gdzie oko zatrzymać, nie widać nic, jak tylko nieprzejrzane przestrzenie porosłe nizką trawą, którą skubią stada krów i koni. Na milę

drogi zaledwie widnieje nędzna chata Brazylianina. Bydło pasie się samo całymi miesiącami, nikt go nie dogląda, tu się rozmnaża i rośnie. Nie można się tak łatwo pokazać na stepie, bo wystarczy, że jeden tylko wół czy byk podniesie rogi, a całe stado rzuca się na człowieka. Brazylianie chwytają bydło w pętlicę czyli tak zw. lasso na koniu. Tak zręczni, że nie chybią nigdy; ćwiczyli się w tem przez całe życie. Już młode chłopię przygotowuje się zarazem do tej sztuki, siedzi na koniu i zarzuca lassa na cielęta, psy i t. d., to zarazem najmilsza zabawka siadać na konia i gonić. To też niezrównani jeźdźcy. Brazylianin wsiada a raczej wskakuje na najdzikszego konia, dopiero co schwytanego na stepie, bez uzdy, siodła i lejców, koń wierzga, wyskakuje, ale strącić go nie potrafi.

Nie myślałem, że są takie stepy w Paranie, wyobrażałem sobie tu same tylko lasy dziewicze. Kraj w tych stronach ma bardzo smutny, bo jednostajny wygląd, pierwszy dopiero raz tęskno mi się zrobiło za krajem ojczystym, za naszemi łąkami i uroczymi lasami i zaludnionemi miastami i wioskami, a tu tak głucho, taka pustka wokoło.

W dodatku był to dzień gorący, upał nieznośny, pełno drobnego piasku unosiło się w powietrzu. Konduktor spił się na dobre, prowadzi on zarazem pociąg. Zaczął się kłócić z pasażerami brazylijskimi, następnie byli to najlepsi przyjaciele, śmiali się, dokazywali, gwizdali na scyzoryku i grzebieniu, wykrzykiwali a wkońcu zabrali się do tanów. Kolej jedzie dalej, aż tu nagle poskoczyliśmy w wagonie, ruch się zrobił i zamięszanie. Na dużym moście nad rzeką Tibagy (Tibasi) wykoleił się wagon tuż za nami; pociągu prędko zatrzymać się nie dało — lada chwila, a nastąpi katastrofa. Już stałem w drzwiach, by wyskoczyć, ale na szczęście dość rychło zatrzymano jeszcze pociąg i już szczęśliwie zajechałem do Ponta Grosso. Miasto dość wielkie i piękne, ale w piaszczystej okolicy. Zamieszkałem u jednego z polskich kolonistów.

W samem mieście jest niewiele rodzin polskich, ale w okolicy jest do 1.000 Polaków; i tak na kolonii Suwarana, 3 klm. od miasta, jest 30 rodzin, w Dona Gertruda 6 klm. od miasta 40 rodzin, w Taquara 8 klm. od miasta 50 rodzin, w Bucaino 3 mile od miasta 10 rodzin, w Curaveia 3 mile od miasta w innym kierunku jest 7 numerów, w Garaona 4 mile od miasta 33 rodzin, w Tiakoka 6 mil odległej jest 8 numerów, a w Adelajdzie 7 mil oddalonej mieszka 35 rodzin.

Wybudowali tu sobie Polacy ładny murowany kościół, biedacy z radości płakali, że mieli na kilka dni polskiego kapłana; kilka mil z okolicy napływali do Spowiedzi św. Do pierwszej Spowiedzi i Komunii św. przyjąłem 30 dzieci.

Stale już jeździmy do poblizkiej kolonii Christina, około 25 klm. odległej od nas. Należała ona kiedyś do ks. Kazimierza Andrzejewskiego, eks-Pijara z Krakowa; obecnie jest on na brazylijskiej parafii w Castro za Ponta Grosso. Przepadają za nim tak Polacy, jak i Brazylianie, ojciec Kazimierz wzbudził wszędzie ogromną dla siebie sympatyę.

Do Chrystyny odbywamy wycieczki konno; droga dobra, jedzie się wciąż w górę i na dół, przez pola i lasy. Należą tutejsi Polacy do Campo Largo, gdzie proboszczem jest ksiądz włoski. Zaniedbani są również bardzo i skończeni pijacy; po karczmach wysiadują dziewczęta i upijają się.

Gdy jeden z naszych księży po raz pierwszy do nich z nabożeństwem polskiem zajechał, z radości upiła się cała Christina.

Oto krótki rys kraju, ludzi i pracy naszej.

Jak Bóg pozwoli i znowu co ciekawego wiedzieć będę, napiszę napewno do „Roczników“. W ostatniej chwili nadeszła wiadomość, że nasz biskup został przeniesiony na opróżnione biskupstwo do San Paulo; będziemy więc mieć nowego biskupa. W tych też dniach ustanowioną została nowa prowincya Zgromadzenia księży *Verbi Divini*. Jest w Paranie coś 10 księży w 4 domach. *X. Hugo Dylla*

n. k. z. m.

Kaczyka, 15 czerwca 1903 r.

(Ciąg dalszy).

Notuję w niniejszym liście wrażenia z ostatniej wycieczki misyjnej, jaką zrobiłem podczas Zielonych Świąt w góry bukowińskie. W niedzielę dnia 22 marca wyruszyłem do Sołki, miasteczka, rozłożonego u uroczego podnóża gór południowych, które się stąd ciągną nieprzerwanem pasmem aż do połączenia się z Karpatami Siedmiogrodzkiemi. Śliczne położenie Sołki znęciło tu licznych letników z pokolenia żydowskiego, którzy z rozkoszą wdychają świeże, już górskie prawie powietrze i z pewnym czułym akcentem nazywają Sołkę swoim „kurortem". Zjeżdża się tu na kuracyę nawet wielu biednych żydów i ci potrafią znakomicie połączyć przyjemności z interesem: powietrza nie opłacają, jak zresztą i wszyscy, t. zw. „wicht" sobie wyproszą, a wyśpią się, gdzie się zdarzy. Bogatsi pobudowali sobie wille, jak na żydów, dosyć ładne.

Rozpocząłem tu misyę niemieckiem kazaniem wśród sumy; po nabożeństwie zaś przemówiłem do garstki Polaków, pracujących w tutejszym tartaku. Po południu przyjechał do pomocy z poblizkiego Sołońca X. Rossman i odtąd mówiliśmy na przemian kazania misyjne i to przeważnie w języku niemieckim. Sołczanie dali na misyi dowód swej obojętności religijnej, bo w kościele było kobiet stosunkowo mało, mężczyzn mniej, a inteligencya prawie wcale się nie pokazała. To też usłyszeli od nas słowa prawdy wszyscy, zwłaszcza konkubinaryusze. Podkreślam tu konkubinat, bo jeszcze w Kaczyce miałem dlań przykry wypadek. W lutym prosiła mnie jakaś starsza pani, Niemka, abym przyjechał na pogrzeb jej

matki do Ilischestie. Jestto wioska, która ma być przyłączona do Kaczyki. Nie pytałem się wcale o stosunki rodzinne tej pani, sądząc, że niema do tego powodu; miałem się jednak w drodze dowiedzieć, że mię zmyliły pozory. Nie na próżno mówią, że kobiety mają zbyt długie języki; długi język miała i stara pani, ale tym razem P. Bóg to zło na dobre obrócił. Zaledwie wsiadłem do powozu, zaczęła niemiecka jejmość narzekać na swojego księdza, a gdym go wziął w obronę, rzekła gorączkowo: „To z pewnością X. Dobrodziej nie wie, że mój „stary“ ma żonę obłąkaną, z którą mu trudno się rozwieść, bo rząd na to nie zezwala“. Na takie *dictum* uczułem, że mi się zrobiło zbyt gorąco i postanowiłem się przesiąść choćby do najgorszego chłopskiego wózka, byleby tylko jechał w stronę Kaczyki, a nie do Ilischestie. Niemka tłomaczyła mi tymczasem dobitnie, że jej „stary“ musi kogoś mieć przy gospodarstwie, sam przecież żyć nie może. Milczałem cierpliwie; spoglądałem tylko, czy się w dali nie ukaże dla mnie zbawienie: wóz jadący do Kaczyki. Wreszcie spostrzegłem zjeżdżający z góry powóz znanego mi powiatowego fizyka. Dałem mu znak, żeby się zatrzymał, a zwróciwszy się następnie do mej zacnej sąsiadki, rzekłem jej: „Wobec tego, coś mi pani powiedziała przed chwilą, ja absolutnie jechać dalej nie mogę“, i wsiadłem do powozu fizyka. Trzeba było widzieć wyraz przerażenia na twarzy pani. Pogrzeb odprawił węgierski ksiądz Sebesteny z Jozeffaloy, a ja dziękowałem Panu Bogu, że mnie wybawił z kłopotu. Na misyi widziałem tę panią tylko raz; — jeżeli poszła do spowiedzi, to jej się chyba do reszty oczy otworzyły. Wyspowiadaliśmy w Sołce około 300 osób. Po zakończeniu misyi wyjechaliśmy z X. wikarym Łuczką do Arbory, jednej z największych wsi rumuńsko-niemieckich na Bukowinie. Mieszkańcy są po największej części protestantami, katolików jest około 900, ale gorliwych. Na misye uczęszczali pilnie nawet mężczyźni, do Sakramentów świętych przystąpiło około 350. Z Arbory ruszyliśmy do Lichtenbergu. Jestto wioska, zamieszkała przez ceglarzy i cieślów niemieckich; domki tu schludne, kościół śliczny, zbudo-

wany na wzgórzu, skąd się roztacza piękny widok na Radowce. Ponieważ w następnym tygodniu mieliśmy wyjechać w góry, został nam zatem dla Lichtenbergerów tylko jeden dzień; chodziło nam zaś o to, aby wszyscy przystąpili do spowiedzi wielkanocnej. Czekała nas ta niespodzianka. Pomimo, że X. Łuczko uprzedził ich o naszym przyjeździe i zachęcił do spowiedzi, nikt się nie zbliżył do konfesyonałów, spoglądali tylko na nas ze zdumieniem. Poszliśmy zatem do zakrystyi na naradę z X. Łuczką. Ten radził wezwać lud z ambony do spowiedzi, gdyż inaczej zrobi nam to samo, co X. Waszyce (Jezuicie), to jest będzie czekał na ostatnią chwilę i wtedy dopiero zacznie się tłoczyć do konfesyonałów. Wszedłem więc na ambonę i wygłosiłem kazanie o zbawieniu, nie przebierając w słowach; w końcu podałem dobrą spowiedź wielkanocną jako niezbędny środek oczyszczenia duszy. Już podczas kazania spostrzegłem pewne zmieszanie na twarzach słuchaczów, sądziłem, że je wywołał ostry nieco ton, jakiego użyłem. Wygłosiłem więc nieco ostro kazanie, lecz skutek był pocieszający, bo zaledwie X. Rossman zasiadł do konfesyonału, wszyscy zaczęli się doń tłoczyć. Zasiadłem i ja, ale na mnie spoglądali chłopi stojący pod chórem z niedowierzaniem, nie wspominam już o kobietach. Wysunął się wreszcie z pod chóru jakiś zuch i zbliżył się do mnie. Nie byłem widocznie tak surowym, jak się może zdawało, bo za nim przyszedł drugi, trzeci, dziesiąty, ośmieliły się też wreszcie przerażone kobiety i spowiadałem do godziny dziesiątej w nocy. Gdy na drugi dzień szedłem do wójta, który nas przyjmował do kościoła, przystąpiła do mnie jakaś kobieta i powiedziała: *Hochwürden seien Sie nicht bös, wir haben nichts gewusst. Schön* — odpowiedziałem jej z uśmiechem — *aber das hat nicht geschadet.* Byli zadowoleni z nas, a my z nich, dali to poznać, gdy nas żegnali. W Glicie jednakże, dokąd pojechaliśmy po południu, ani poczciwy X. Gąsiorowski nie byłby nic wskórał, bo nie było do kogo mówić. Kazaliśmy cztery razy dzwonić — zebrało się kilkanaście dzieci i parę kobiet, dopiero wieczorem przyszło kilku mężczyzn. Na drugi dzień tak samo licho

się stawili. Oziębłość tutejszych katolików tłomaczy się zażyłością z Rumunami, z którymi przestają. Powiedziałem im tylko jedną naukę, a to w ten sposób, na jaki zasłużyli; Lichtenbergerów pochwaliłem, że się wszyscy wyspowiadali. Gliczanie dotknięci tą nauką, użalali się przed X. Łuczką, że przecież takimi nie są, jak ich X. Misyonarz opisał. „Nie wy“ — odparł — „winni jesteście, ale ci, co nie przyszli“, i tak ich uspokoił. Mnie to jednak wcale nie odebrało przekonania, że do Pana Boga, z małymi tylko wyjątkami, leniwie się garną. Przystąpiło wszystkich do świętych Sakramentów około 110. W następnym dniu pojechaliśmy w góry, aby odprawić misye, zapowiedziane w Dorna Watrze, Dorna Kandreni i w Jakobenach. Sprawozdanie z tych misyi zostało już umieszczone w przeszłym numerze „Roczników“, dodam chyba jeszcze to tylko, że dwie pierwsze miejscowości mają obfite źródła silnego borkutu (wody selterskiej). Gospodarz, który nas przyjął w gościnę, posiada na swoim gruncie cztery źródła; jedne z nich zawierają przymieszkę siarki, drugie żelaza. Smak tej wody jest ten sam, co selterskiej. Gdyby tylko jeden miał tego rodzaju źródła, mógłby zrobić na sprzedaży borkutu wielki interes, ale tu pas źródeł ciągnie się wzdłuż góry, chybaby ktoś zakupił wszystkie, aby przeszkodzić konkurencyi. Butelka borkutu kosztuje w Czerniowcach 40 halerzy, a na miejscu można ją dostać bezpłatnie.

Dokończenie nastąpi.

Siostry Miłosierdzia w prowincyi warszawskiej
w ciągu pierwszych lat ośmiu.

Wydano w Krakowie wiadomości, dotyczące trzech pierwszych Sióstr Miłosierdzia, wysłanych do Warszawy przez św. Wincentego à Paulo i wiel. Ludwikę Marillac; wiadomości te uzupełniamy nowymi szczegółami, zaczerpniętymi z odpowiednich źródeł. Opieramy się głównie na konferencyach i listach św. Wincentego. Założyciel nasz święty, mówiąc w nich o szlachetności, męstwie i roztropności trzech córek swoich w Polsce, podziwia dobroć Bożą, która posługuje się tak nędznemi narzędziami dla zdziałania cudów miłosierdzia w kraju obcym, wystawionym na rozliczne klęski, spowodowane zarazą i wojną. Źródeł pewnych i cennych wiadomości o początku prowincyi polskiej i nadzwyczajnem poświęceniu pierwszych Sióstr dostarczą nam jeszcze narady ustne św. Wincentego z jego współpracowniczką — tradycye, przechowane wiernie w Warszawie, tudzież kilka urzędowych dokumentów.

Na prośbę królowej Maryi Ludwiki Gonzagi wyruszyły z Paryża do Polski dnia 6 września 1652 roku trzy siostry: Małgorzata Moreau, Magdalena Drugeon i Franciszka Donelle. Za przybyciem do Polski w październiku, zatrzymały się w Łowiczu, gdzie wówczas bawiła królowa. W dniu 8 grudnia wynajęły dom w Warszawie w pobliżu kościoła św. Krzyża. Wszystkie trzy pomimo młodego wieku wzięły się energicznie do pracy, zbierając po ulicach Warszawy bieda-

ków, dotkniętych zarazą i umieszczając ich w odpowiednich schroniskach, urządzonych przez Misyonarzy.

Nie ograniczając swej działalności na pielęgnowaniu chorych, zajęły się nauczaniem dziewcząt, nadto roznosiły jałmużnę ubogim od królowej i zakładały szpitale na prowincyi. By trwały stale w podjętej pracy, założycielka p. Le Gras utwierdzała je listami, udzielając w nich rad, wydając rozporządzenia, odpowiednie do podjętych dzieł i zajęć. Pan Bóg błogosławił pierwszym pracom Sióstr, a gdy małe Zgromadzenie rozszerzało coraz więcej zakres działania, Marya Ludwika poprosiła św. Wincentego jeszcze o trzy siostry. Św. Założyciel, stosując się do życzenia królowej, wysłał we wrześniu 1655 r. do Polski trzy siostry, a na ich czele Małgorzatę Chétif, która w pięć lat później została Generalną Przełożoną Sióstr Miłosierdzia. Szczegół ten dowodzi, że św. Wincenty starał się powierzyć losy Sióstr w Polsce siłom najwybitniejszym. Zaledwo jednak druga partya dojechała do Rouen, dalsza podróż okazała się niemożliwa, bo w Polsce wybuchła wojna szwedzka. Wobec tego wróciły Siostry do Paryża. Ludwika Marillac chciała przez nie posłać list, zaadresowany do trzech pierwszych Sióstr w Polsce. Podajemy z niego ustęp, świadczący o jedności Sióstr i o duchu Bożym, który ożywiał trzy Siostry w Warszawie.

19 sierpnia 1655 r.

„Wreszcie nadchodzi czas, jaki Opatrzność wybrała na odjazd (do Polski) ukochanych Sióstr, które żegnamy z bólem, bo rozłączamy się z niemi, ale i z radością, że spełniając wolę Boską, i razem z wami będą ją spełniać w Polsce. Drogie Siostry moje! Jakie ważne stanowisko wasze! Proszę gorąco P. Boga, by dał wam je poznać. Jestem przekonaną, że przejęcie się ważnością zadania obudzi w was pokorę i zawstydzenie, żeście wybrane do pracy tak wielkiej. Mówiłyście mi zawsze, że trzy osoby wasze, tworzą jedno serce; to też błagam Was w imię Trójcy Przenajświętszej, rozszerzcie to serce, niech nowe trzy Siostry wejdą w tę

łączność serca tak, by nie było różnicy między Siostrami, óre dawniej pracują w Polsce, a nowemi. Zapewniam Was, że nowe Siostry mają tak dobrego ducha, jak Wy, jedyna ich myśl, to przypodobanie się Bogu, nie szukają one własnego interesu lub zadowolenia. Ze względu na Boga spełniajcie Jego wolę, obsługując chorych z miłością i pokorą, ze względu zaś na Maryę Ludwikę, bądźcie jej we wszystkiem posłuszne, bo ona Wam nic nie rozkaże, coby mogło odwieść Was od P. Boga lub od obowiązku.

Dla Was nowe Siostry przejęte są szacunkiem, że Pan Bóg obrał Was na kamień węgielny tej budowy, że Opatrzność prowadziła Was pod cieniem swych skrzydeł. Mam nadzieję, droga Siostro Małgorzato, że nie odmówisz im potrzebnych uwag o sposobie służenia tamtejszym ubogim. Zdaje mi się, że nie będę się mogła dość nacieszyć Waszą zgodą i jednością w słowach i uczynkach, które budować będą Was same i świeckich".

W czasie wojny szwedzkiej wywiozła królowa trzy Siostry z Warszawy na Ślązk, nie chcąc ich narażać na niebezpieczeństwo w stolicy, zajętej przez Szwedów. W Opolu uczyły Siostry dziewczęta, wspierały biednych, pielęgnowały chorych. Gdy wojska szwedzkie opuściły Kraków, podążyła tam królowa, a z nią i Siostry. Tu Opatrzność przygotowała dla nich pole do poświęcenia: W pobliżu Krakowa były schroniska, napełnione rannymi. Tu więc otwarła się dla Sióstr praca, a gdy zamknięto po kilku tygodniach schroniska, zamieszkały Siostry na Wawelu, spełniając te same dzieła, co na Ślązku. W czasie dwuletniej wędrówki mieszkały Siostry jak widzimy, w Warszawie, Opolu i w Krakowie. Gdy Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia rozszerzyło się w Polsce, powstały trzy prowincye: warszawska, krakowska i chełmińska, do której należało Opole. Tak więc pierwsze trzy Siostry w przeciągu dwóch lat stanęły na ziemiach wszystkich trzech późniejszych prowincyi polskich, by owiać je miłością i zaparciem, którego nabyły wprost od założycielki Zgroma-

dzenia. Szczegół ten jest pocieszający dla wszystkich pokoleń Sióstr Miłosierdzia w Polsce, ilekroć wspomnę sobie na trudny początek Zgromadzenia na ziemiach polskich.

Siostry wróciły z Krakowa do Warszawy w r. 1657. W r. 1658 oddała im królowa bogato uposażony dom, przeznaczony na ochronkę dla stu dziewcząt. W tymże roku Siostry założyły Seminaryum, a wiel. Ludwika de Marillac czuwała z daleka, by urządzonem zostało na wzór domu św. Wawrzyńca w Paryżu. Św. Wincenty pisze w jednym liście do X. Ozenne: „P. Le Gras posyła Siostrze Małgorzacie kopię regulaminu dla Dyrektorki Seminaryum Sióstr Miłosierdzia“. W ten więc sposób dom św. Kazimierza został domem centralnym prowincyi polskiej, a dziś jest ogniskiem prowincyi warszawskiej.

Na usilne prośby królowej zamyślała pobożna założycielka wysłać w r. 1659 trzy inne Siostry, lecz Siostry warszawskie zamiast pomocy otrzymały smutną wiadomość o śmierci ukochanej matki. Św. Wincenty pisał 19 marca 1660 r. do X. Desdames, superyora XX. Misyonarzy warszawskich: „Posyłam Siostrze Małgorzacie list, który bardzo zmartwi Siostry Miłosierdzia. Podobało się P. Bogu zabrać p. Le Gras. Przygotuj je do tej nowiny i do zniesienia tej straty“. Wierna służebnica Boża poszła 15 marca 1660 r. po nagrodę za życie pełne zasług, oddane całkowicie służbie Boskiego Mistrza, pocieszaniu ubogich, zbawieniu dusz.

(Dokończenie nastąpi).

Shanghaï, hôpital général*) 15 czerwca 1903.

Wiedząc, że zaraz nie będę mogła pisać, poleciłam kuzynowi, aby za mnie wpierw podziękował za wspaniałomyślną przesyłkę. Wielka to była dla mnie pociecha, a radość dla tych, którzy byli jej szczęśliwymi uczestnikami. Zapewniam, że jałmużna ta dobrze tu użytą została i przyczyniła się wiele do chwały Bożej. Bóg zapłać więc, a Boska Opatrzność niech ją stokrotnie pomnożyć raczy.

Rozdzieliłam sumę tę na trzy części. 200 koron Najprz. Ks. Biskupowi Ferrant, w którego wikaryacie wiara, a zarazem i potrzeby niezmiernie się rozszerzają i kilka sapeków wielką oddadzą usługę. Utrzymanie setek katechumenów przez kilka miesięcy na Misyi, budowa kaplic, oratoryów, szkół itd. ogromne pochłania sumy. 25 piastrów, więcej niż 50 koron, posłałam na budowę kaplicy konania P. Jezusa, W. księdzu Osinelli w Tche Kiang, tak więc chrześcijanie tej miejscowości bardzo oddaleni od kościoła, będą mogli co niedzielę uczestniczyć w ofierze Mszy św. i nauce. (Jest tu przywilej dla Misyonarzy odprawiać dwie lub trzy Msze św. w niedzielę, stosownie do potrzeby i rozległości ich misyi). Reszta przysłanej kwoty dostała się moim dawniejszym małym katechumenom. Nie mogę zapomnąć tej pociechy, którą doznawałam, widząc co roku ten zastęp dziatwy, przygotowujący się do chrztu św. i innych Sakramentów. Dzieci te powróciwszy do swoich rodzin są prawdziwymi Apostołami, utwierdzają w zna-

---

*) Dzięki uprzejmości wydawcy „Misyj Katolickich" otrzymała redakcya „Roczników" list Siostry Pauliny Moniak z Chin, który piękne podaje szczegóły o działalności Sióstr Miłosierdzia Polek na dalekim wschodzie.

jomości zasad wiary swoich rodziców, którzy zajęci pracą około utrzymania rodziny, zaledwie mogą użyć ściśle potrzebnego czasu, do pouczenia się prawd naszej świętej wiary. Dzieci te także są prawdziwą pomocą i pociechą dla misyonarza, który, gdy zwiedza co roku powierzony sobie oddział, bierze je sobie za przewodników. One to przewodniczą modlitwom, zebraniom i katechizmom, które się udziela na misyi.

Dzieci tutejsze darmo ryżu nie jedzą. Począwszy od chowu jedwabników, przędzalni jedwabiu, wyrób materyi i przedmiotów potrzebnych do haftu, rysunek i haft, cały wogóle przedmiot wychodzi z ich rąk. Jest to praca młodzieży, t. j. chłopców, dziewcząt, kalek, w zakładzie Sióstr Miłosierdzia w Ning-Poo. Pracą swą biedne dzieci przyczyniają się wiele do swego utrzymania.

We wielu zakładach różnych zgromadzeń wykonują wychowańcy mnóstwo prześlicznych haftów, koronek klockowych, wyrób materyi jedwabnych i t. d. Hafty są szczególniej dobrze widziane w Anglii, skąd liczne co roku nadchodzą obstalunki; koronki zaś klockowe są bardzo pożądane we Francyi, a szczególnie wysyła się dużo do sławnego „Bon Marché“ w Paryżu. Podobny zakład w Shanghaï mają „Mères Auxiliatrices“, zdaje mi się, że to to samo zgromadzenie, co u nas Matki miłosierdzia. Otóż zwiedzając pracownie, nie wie się, gdzie oczy zatrzymać, bo jedna rzecz piękniejsza od drugiej. Ostatnimi czasy wykonano tu ornat dla Ojca św. na Jubileusz. Nie miałam sposobności sama go oglądać, ale powiadano, że był arcydziełem. Męka Pańska wykonana haftem, szczególniej osoby miały być po mistrzowsku oddane.

Ale pierwszeństwo trzeba oddać zakładowi WW. OO. Jezuitów w Zi-Ka-Wei, 8 km. oddalonemu od Shanghaï. To coś prawdziwie wielkiego i wspaniałego. Obok katedry pod wezwaniem św. Franciszka Ksawerego, jest najpierw szkoła dla dzieci chrześcijan i katechumenów, pensyonat dla dzieci zamożnych rodzin chińskich, dalej stolarnia, rzeźby, snycerstwo, drukarnia i malarnia z tokarnią. Wykonują tu prześliczne figury św., wspaniałe ołtarze, ramy, obrazy i inne

przedmioty w tym guście. Ojcowie dają zarobek znacznej liczbie robotników, przyjmując wszystkich, którzy chcą pracować, bez różnicy religii. I tak można zobaczyć poganina, z którego rąk wychodzi piękna statua Najświętszej Panny lub Najśw. Serca. To dosyć ciekawe; Święci wykonani przez pogan. Biedne te dusze znajdują tu zarobek dzienny, a często potem i zbawienie. Obcując z Ojcami i pracując obok chrześcijan, poznają naszą św. wiarę.

W Zi-Ka-Wei jest także obserwatoryum astronomiczne pod kierownictwem OO. Jezuitów. Dyrektorem jest O. Scherrer. Zi-Ka-Wei jest teraz bardzo znane, a nawet protestanci zwiedzając je, oddają zupełne swe uznanie, boć ile tu się dobrego dla moralności, oświaty i dobrobytu czyni.

Wczoraj niedziela w oktawie Bożego Ciała. W Zi-Ka-Wei właśnie odbywała się procesya Najśw. Sakramentu, w której miałam szczęście uczestniczyć po raz pierwszy, odkąd kraj opuściłam. Urządzają ją co roku dla Chińczyków w ogrodzie Mères Auxilliatrices. Ogród gustownie udekorowany w guście chińskim, ale pełnym uroku. Dwa wspaniałe ołtarze, wzniesione bardzo wysoko, z samej zieleni i kwiatów. Zdawało się, że Jezusowi Panu miło było spocząć na nich i błogosławić u stóp Jego korzące się rzesze. Widać tu było całe szeregi Dzieci Maryi w medalach i z liliami. Jakie to pocieszające, te zastępy młodych dziewcząt pod sztandarem Maryi w kraju tak zdemoralizowanym, jak Chiny, dalej Bractwo Różańca św. i dzieci I. Komunii św. Kwiaty sypali Zbawicielowi mali chłopcy (dziewczynki tu zanadto nisko są uważane), w powłóczystych czerwonych sukniach, eleganckich komeżkach i czerwonych złotem haftowanych czapeczkach. Robili wrażenie malutkich kardynałów i trudno było oczy oderwać od tej małej, a tak w tej chwili poważnej dziatwy. Wszystko robiło wrażenie prawdziwej pobożności i skupienia i może nie było i jednej duszy, którąby ciekawość tu przyprowadziła. Jakie to śliczne, jakie budujące. W Europie wyrzucają Zbawcę naszego z Jego kościołów, a tu w kraju pogańskim cisną się do stóp Jego nawrócone rzesze. A w mojej wyobraźni prze-

suwały się nasze urocze wiejskie procesye, jak np. w Tenczynku, a usta mimowoli powtarzały poważne słowa naszych polskich pieśni, na tę uroczystość, jak: Twoja cześć chwała, Zróbcie Mu miejsce i te rzewne: W tej Hostyi jest Bóg żywy, choć zakryty, lecz prawdziwy. Chyba nigdzie P. Jezus nie jest tak czczony, jak u nas!

Jest tu teraz pora I. Komunii św., której także byłam przytomną 4 czerwca w pensyonacie dla europejskich dziewczynek. Jego Excel. Ks. Biskup Paris T. J. sam ją udzielał, jakoteż i sakramentu Bierzmowania. Pięknie się to odbyło z ceremoniami, jak w Europie. Piękne śpiewy i muzyka, wykonane przez same protestantki, ani jednej pomiędzy niemi nie było katoliczki. To też dziwnie było słyszeć hymny ku czci Najśw. Sakr., śpiewane przez te, które ani pojąć, ani zrozumieć nie mogą, co to jest Najśw. Eucharystya.

Bogu więc dzięki, że ktoś się zajmuje duszami biednych dzieci europejskich, których rodzice przychodzą tu po największej części, aby żyć i używać i fortunę robić, a gdy się to nie udaje, często kula z rewolweru kończy według nich wszystko. Straszna to rzecz, jak częste są wypadki samobójstwa. Powiadają doktorzy, że to choroba Shanghaju. Na 7000 Europejczyków czasem się trafiają i trzy wypadki na tydzień.

Po drugiej stronie Jang-tse-Kiang, w Woosong, gdzie rzeka ta wpada w morze, leży Pouton, miejsce znaczne licznemi fabrykami przędzalni bawełny. Przed kilku laty był tu zacny dyrektor tych fabryk, choć protestant, ale życzliwie sprzyjał katolikom, dbał o dobro robotników, żył w dobrej przyjaźni z O. Pierre T. J., który tu jest pasterzem dusz. Co niedzielę i święta odprawiała się choć w szopie Msza św., a chrześcijańscy robotnicy mieli zupełną wolność jej uczestniczyć. Zrobił więcej; założono tu aptekę dla ubogich i robotników, i codzień Siostry nasze przeprawiają łodzią na drugi brzeg, by całe popołudnie opatrywać chorych, odwiedzać w ich domach, gdy przyjść nie mogą; rozpoczęto także budowę świątyni Pańskiej. Ale dobre czasy dla Pouton i gorliwego misyonarza

się skończyły ze zmianą dyrektora. Nowy to zacięty wróg katolików. Robotnicy chrześcijanie nie są dobrze widziani, a często każe wszystkim w niedzielę pracować i w dniu takim kościół zamknięty, niema nabożeństwa. Miał też O. Pierre w tym roku i pociechę w dniu 21 maja poświęcenia domu Bożego, jestto ogromny obszar otoczony murem i pokryty dachem, bez powały i posadzki, tylko presbyteryum kamieniem wyłożone. Widok był rzewny i biedny misyonarz płakał jak dziecię, odprawiając pierwszą Mszę św., z radości i na myśl, że ma miejsce na głoszenie słowa Bożego i sprawowanie św. Tajemnic. Wieczorem Europejczycy wzięli sobie za obowiązek uświetnienia uroczystości pięknym śpiewem i muzyką.

Jeszcze mały fakt z życia w Shanghaï. Przed kilku dniami umarł tu młody człowiek. Rodzice jego byli protestanci, a on sam nie był ochrzczony. Przed śmiercią jeszcze wyznawał głośno: „Mój ojciec w nic nie wierzył, ja także chcę żyć i umierać jak on“. A więc po jego smutnej śmierci minister protestancki (którego dobrze znam), urządził mu wspaniałe ceremonie pogrzebowe i jak zwyczaj u protestantów, była też i mowa w tej treści: „Dziwna to rzecz, żem tego młodego człowieka nie miał sposobności nigdy poznać, ani spotkać, choć znałem jego zacnego ojca Dra N. Jednak z licznego zebrania, które widzę, dla oddania mu ostatniej posługi, wnoszę, że musiał to być dzielny młodzieniec, znany w towarzystwach i poświęcający się dla dobra publicznego, należał bowiem do ochotników straży ogniowej i t. d. Biedni protestanci z temi zasługami wysyłają go na sąd P. Boga.

Mam jeszcze jedną chińską uroczystość do opisania.

Dom nasz położony nad brzegiem kanału, który się nazywa „Soochow czeek“. Otóż na dniu 31 maja podług chińskiego kalendarza 5 dzień piątego księżyca, obchodzą Chińczycy święto „Smoka“, oddają w tym dniu poganie dyabłu cześć publiczną, wzdłuż całych rzek, prosząc, aby ich zachował od wszelkich złych wypadków, dla ich osób i dla handlu i towarów, które przewożą łodziami i okrętami. Są tu oko-

lice, gdzie Chińczycy nie mają swych siedzib na lądzie, całe życie przepędzają na wodzie, tu się rodzą, żyją i umierają, tylko po ich śmierci umarłych chowają w ziemi. Biedni żyją w nędzy, ale miałam sposobność zwiedzać łodzie bogatych kupców, to czasami przeszło 100 osób na niej się znajduje. Święto więc smoka obchodzą w ten sposób. Przez 24 godzin przepływają rzekę łodzie jedna za drugą. Są one zrobione w kształcie smoka. Czoło łodzi, to ogromna głowa potworu, która się nieustannie porusza i najdziwaczniej przystrojona: boki łodzi malowane jakby jego skóra, a koniec łodzi w formie ogona. Po dwu stronach umieszczają się wioślarze w dziwacznych kostyumach, może po 10-ciu z każdej strony i poruszają wiosłami w takt muzyki. Łodzie przystrojone w napisy, draperye, insygnia dyabelskie i przepełnione ludźmi w maskach i cudackich ubraniach. Ci wyprawiają różne komedye, grymasy, ćwiczenia gimnastyczne i przesądy religijne pogańskie. Wystrzały, petardy, przeraźliwa muzyka, tam-tam (tj. żałosne uderzenia w bęben, używane w Chinach do obrzędów religijnych), także krzyki tłumów, przepełniających oba wybrzeża, dają zupełnie wrażenie czegoś piekielnego. Wieczorem urządzają uroczystość oświetlenia i ognie sztuczne. Tego roku tak był dyabeł kontent, że w nocy mieliśmy burzę z piorunami, której równej od dawna sobie nie przypominamy. Podobne święto obchodzą w jesieni na szukanie dusz potopionych Chińczyków. Są to łodzie, którym towarzyszą po wodzie płynące światła. Dusze wychodzą zwabione światłem i łączą się z duszami przodków pomarłych na lądzie.

Już na tem potrzeba zakończyć, jeśli nazbieram co nowego, to znowu napiszę, mam bowiem teraz trochę więcej czasu, będąc, jak siebie nazywam „stróżką nocną“, t. j. gdy moje towarzyszki spoczywają po pracy dziennej, ja biorę wszystkich chorych w opiekę, przez całą noc czuwając przy nich. Cały więc dzień należy do mnie na spoczynek, ale to okropnie trudno robić z dnia noc. Cieszę się, że mam dosyć zdrowia i odwagi do tego.

S. Paulina Moniak,
S. Miłosierdzia.

SPRAWOZDANIE Z MISYI SALWADORSKICH.

(Od 20 października 1901 do 6 października 1902).

San-Salvador, 20 października 1902.

Po ukończeniu wielkiej misyi w Suchitoto, X. Vaysse i Potier pospieszyli natychmiast z pomocą do seminaryum. X. Lafay tymczasem podążył do St. Michel (Salvador) i do Léon (Nicaragua), aby udzielić rekolekcyi SS. Miłosierdzia.

Misya w Suchitoto zaprawdę godną jest uwagi; trwała ona od 20 października 1901 do 4 grudnia, a skutki jej są bardzo pocieszające! Wyspowiadało się 4983 osób, pobłogosławiono 240 małżeństw, 320 dzieci przygotowano do pierwszej Komunii świętej. Z misyi tej korzystali też więźniowie, gdyż na prośbę proboszcza i za pozwoleniem dozorcy więzień, jeden z misyonarzy miewał do nich przez 3 dni nauki. Jednego z nich skazano z powodu popełnionego zabójstwa na śmierć; zgodziwszy się, chociaż z wielkim bólem w sercu na okrutny ten wyrok, wyspowiadał się, lecz ostatnie godziny, jakie mu pozostawały jeszcze do śmierci, Pan Bóg sam jedynie wie, w jak wielkich przepędził boleściach i smutkach. W podobnych razach podawają takiemu dla pokrzepienia się, nabrania otuchy i uspokojenia nieco wódki. On jednak aż do samej chwili, w której miano go wyprowadzić na miejsce stracenia, odmawiał i nie przyjął tej ostatniej ulgi w cierpieniach. Wyobraźcie więc sobie tego skazańca, ubranego w białe spodnie i wielką czarną bluzę, siedzącego na mule a prowadzonego pod eskortą wojskową, której ostrza bagnetów ani na chwilę nie spuszczają go ze swego celu,

powolnym krokiem przez ulice miasta. Miejscami tylko smutny ten orszak zatrzymuje się, a woźny donośnym głosem obwieszcza wyrok śmierci. Skazaniec jednak nie dba na to wcale, albowiem cały pogrążył się w słuchaniu zachęt i słów pociechy Misyonarza, postępującego u jego boku. Nareszcie orszak, otoczony tłumem ludzi ciekawych, staje na cmentarzu. Tu, z odległości pięciu kroków, sześć strzałów godzi w piersi winnego, który też w tej chwili oddaje swojego ducha, czyniąc zadość za swe zbrodnie i przewinienia.

W marcu 1902 r. X. Lafay i ja podjęliśmy wycieczkę misyjną w okolicy Suchitoto, której koloniści, oddaleni zbyt od miasta, całkiem prawie są pozbawieni opieki duchownej. St. Christophe i Bermuda zajęły nas od 9 marca do 21 kwietnia. Ani jedna, ani druga miejscowość nie ma ni kościoła, ni kaplicy. Ustawiono więc tymczasowy ołtarz w kurytarzu jednej z tutejszych ferm, która w ten sposób niejako zamieniła się w kościół, do którego zewsząd napływał lud na kazania i dla odnowienia się na duszy w Sakramencie pokuty.

Po powrocie do domu zajęły nas znowu na pewien czas rekolekcye dla dzieci, przystępujących do pierwszej Komunii świętej, i ubogich, których zebrały u siebie Panie z Towarzystwa Miłosierdzia.

Dnia 6 lipca skierowaliśmy podróż naszą do Santiago, małej wioski, leżącej niedaleko od San-Salvador, a której mieszkańcy dla czystych a prostych swych obyczajów, jako też i miłego nas podjęcia, przypadli nam bardzo do serca. Misya miała się już prawie ku końcowi, gdy przybył X. Daydi, którego pomocy bardzo wyglądaliśmy. Dnia 17 sierpnia wyruszyliśmy do Cojutepeque, miasta znacznego dość, a odległego o 40 klm. od San-Salvador. Misya ta, jako prawdziwa walka z grzechem, trwała dni pięćdziesiąt.

Ale jakież jej skutki? Oto przebywaliśmy wśród Indyan, o dobrem wprawdzie sercu, lecz pełnem zakorzenionych z braku oświecenia religijnego, błędów i przywar. Już przed 40 laty pracowali tu gorliwi Misyonarze. Sławny a dzielny Misyonarz hiszpański, Manuel Lubirana, którego pamięć jeszcze dotąd

jest u nich we wielkiej czci i poważaniu, ogłaszał im ewangelię w r. 1860. Świątobliwy ten kapłan zmarł, jak mówią, śmiercią męczeńską, poniesioną z rąk dzikich Indyan, wśród których starał się usadowić. W roku 1864 pracowali tu OO. Jezuici, a w r. 1871 przybyło tu dotąd czterech OO. Kapucynów, którzy tu jednak tylko przez miesiące ogłaszali prawdy wiary. Wyznać jednak trzeba, iż byli to dzielni apostołowie! Ani długa i uciążliwa droga, ani palący żar słoneczny, ani słoty zimowe, nic zgoła nie mogło ich odwieść od zamierzonego celu. Przy tem nadmienić trzeba, iż zawsze pieszo podążali oni do tych krain, które chcieli pozyskać dla ewangelii.

W czasie pobytu naszego w Cojutepeque, posługując się słowami jednego z dzienników antyreligijnych, trzymaliśmy ludność w ciągłem naprężeniu. Kościół sam okazał się za niedostateczny, aby mógł pomieścić te tłumy, spieszące na wszystkie ćwiczenia misyi.

Katechizacya dostatecznej udzieliła nam sposobności do zaszczepienia prawd wiary naszej w sercach tych chrześcijan, oraz przygotowania dzieci do najpiękniejszego aktu w życiu, do przyjęcia Komunii świętej. 250 dzieci, w samą uroczystość Narodzenia Najświęt. Panny, przystąpiło do Stołu Pańskiego. Komunia tych dzieci, to najwięcej wzruszająca scena tej misyi. Liczba jednak tych, co w 18, 20, 25 a nawet 30 roku swojego życia po raz pierwszy przystąpili do trybunału pokuty, przeważa liczbę dzieci, przyjmujących pierwszą Komunię świętą. Lecz cóż tego powodem? Oto niema nikogo, coby ich w tym względzie pouczał. W szkołach nauka religii zakazana, a rodzice o nią nie dbają.

Z 5899 spowiedzi dwie trzecie były z całego życia, a i małżeństwa do pobłogosławienia przybyły licznie. Lecz jak każda, tak i ta misya miała siłę do wyrwania dusz z grzechu, zamieniając hańbiące małżeństwo na związek prawny i chrześcijański.

Indyanie z Cojutepeque uchodzą powszechnie za walecznych wojowników. Na pierwsze hasło wszyscy stają

do walki uzbrojeni jedynie w duży a szeroki kordelas, i śmiało nacierają na nieprzyjaciela. Historya Ameryki środkowej często wspomina z podziwieniem wielkie ich czyny.

Straszni, jak lwy w boju, stają się łagodnymi i powolnymi jak baranki w ręku sługi Pana. Mając przytem wielkie zamiłowanie w ceremoniach, które, wedle ich mniemania, są tem samem, co wiara, nie zaniedbują niczego, coby mogło tylko dodać im blasku. W dniu oddania się Najśw. Pannie, ustawiono wspaniały tron, otoczony aniołami promieniejącymi, dla tej przemożnej Królowej niebios; kwiaty dokoła ustawione, różnorodnem zabarwieniem swojem i wonią, miłe nader sprawiały wrażenia, a świece palące się przypominały i wyobrażały miłość żywą Maryi dla ukochanych jej dzieci.

Odprawiliśmy też uroczyste publiczne poddanie się Najsłodszemu Sercu Jezusowemu, dla którego wszyscy żywą czują miłość, oraz publiczne przeproszenie za wyrządzone Mu krzywdy i zniewagi.

Nie zapomniano jednak i o zmarłych, a spora liczba osób, biorących udział w nabożeństwie żałobnem za dusze w czyścu cierpiące, świadczy, iż ich serce zarówno współczuje z ich cierpieniami.

Nic jednak nie dorówna uroczystości poświęcenia krzyża misyjnego, którą poprzedziła procesya a zakończyło kazanie, wygłoszone na otwartem polu w chwili, kiedy miano przybić do krzyża, wzniesionego w przeszłem stuleciu, tabliczkę pamiątkową. Dwa wieki niejako podały tu sobie ręce, koniec XIX. a początek XX., aby świadczyć przyszłym pokoleniom o wierze i miłości Jezusa, mieszkańców Cojutepeque.

Nabożeństwo różańcowe niemniej zasługuje na uwagę. Uroczyste to nabożeństwo polega na tem, że Misyonarz wszedłszy na ambonę, rozpoczyna wstępne modlitwy różańca. Po wstępie tym lud śpiewa jedną albo dwie zwrotki do Najśw. Panny. Następnie Misyonarz wygłasza tajemnicę, dając jej krótkie wyjaśnienie oraz intencyę, na jaką należy odmówić pierwszy dziesiątek. Intencya taka zwykle obejmuje jakiś rodzaj grzeszników, prosząc o ich nawrócenie. Po ukończeniu

pierwszego dziesiątka Misyonarz przechodzi do drugiego, postępując w ten sam sposób, co przy pierwszym i tak aż do końca różańca. Nabożeństwo to, urozmaicone kazaniem i śpiewem, podaje należytą sposobność do omówienia chorób duchowych, zagrażających ciągle duszy, oraz do podania środków, chroniących przed niemi.

Cała ta misya sprawiła ogromne wrażenie na uczestnikach. Przy odjeździe towarzyszyło nam z płaczem 3.000 osób.

Na wszystkich tych misyach, wliczając w to i Suchitoto, wyspowiadaliśmy 13.643 osób. Wielka to zaiste utrata dla nieprzyjaciela rodu ludzkiego!

Widzisz więc, czcigodny Ojcze, że w Ameryce wiele pozostaje jeszcze do spełnienia dobrego, żniwo obfite, a wolność niczem nie hamowana. Któż więc powstrzyma w gorliwości synów wielkiego świętego, nazwanego „łowicielem dusz“.

Ch. Hétnin
k. M.

KRONIKA.

Kraków. Kleparz. Zimową porą, kiedy konfratrzy po misyach nie jeżdżą, gromadzimy u siebie lud, jak się to już poprzednio od lat zgórą dwudziestu praktykowało i dajemy rekolekcye poszczególnym stanom. Praca ta, jak się ją tylko zacznie, mogłaby i cały rok trwać w naszym kościele, bo co jedni odejdą, to werbują i wysyłają innych. Pomimo trudności, z rozmaitych stron powstających, lud poczciwy umie nas odszukać i jako do swoich ciągnie gromadami. W terminie od 10 do 14 listopada odprawiły swoje rekolekcye kobiety zamężne i wdowy w liczbie 300. Z tych około 200 było ze Śląska pruskiego; reszta z Królestwa i tu z Galicyi kilka. W głoszeniu słowa bożego oprócz konfratrów, stale na Kleparzu bawiących, dzielnie pomogli kandydaci wyprawy amerykańskiej, którzy tem chętniej i gorliwiej szli na ambonę kleparską, że przewidywali, iż nie tak rychło ją powitają. Za kilka dni bowiem mieli wyruszyć do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, żeby tam dawać misye wychodźcom polskim. Liczba uczestniczących niezbyt wygórowana; w kościele, ani na mieszkaniu ścisku nie było; słuchaniu spowiedzi daliśmy radę o własnych siłach. Zwykle rozpoczynamy serye w poniedziałki wieczorem, a kończymy w piątki zrana; tym razem z powodu oktawy dnia zadusznego zaczęło się we wtorek, a skończyło w sobotę. Na zakończenie przybył Najprzewielebniejszy X. biskup Nowak, sufragan i Wikaryusz Generalny krakowski. Odprawił cichą Mszę św., w czasie której rozdał Komunię św. wszystkim rekolektantkom, nieco bierzmował, a na końcu przemówił. Była to przydłuższa,

piękna i porywająca mowa. Zaczął od słów pieśni: *Każda żyjąca dusza niech się miłością wzrusza, uwielbiając, wychwalając Serce Jezusa!* Przypomniał naprzód Najdostojniejszy X. Biskup szczęście, jakiego dostąpiły te pobożne dusze, ciągnąc z rozmaitych dzielnic naszej ojczyzny do tego zacisza w Krakowie, by u stóp P. Jezusa wytchnąć nieco i otuchy zaczerpnąć. Nie polityka żadna, mówił X. Biskup, was tu sprowadziła z tak daleka, jeno pragnienie oświecania i uświęcania dusz waszych, zasilania ich zdrojami łask Bożych, których tu całe potoki tryskają. U siebie macie może większe, wspanialsze budynki po miastach, ale nie macie tylu kościołów i tylu relikwij, świętych naszych patronów, jak tu w Krakowie, czem się chlubić możemy. Po Rzymie nigdzie w katolickim świecie niema tylu pamiątek po św. patronach naszych, jak w Krakowie: Św. Stanisław, Biskup krakowski i męczennik, św. Jacek, św. Bronisława, św. Jan Kanty, błog. Izajasz Boner, błog. Stanisław Kazimierczyk, św. Salomea, św. Floryan, św. Szymon z Lipnicy — że innych pominę. W chwili, kiedy do was mówię, odprawia się w katedrze tutejszej nabożeństwo z okazyi, że relikwie błog. Wincentego Kadłubka, Biskupa krakowskiego, sprowadzone z Jędrzejewa, J. Em. X. Kardynał Puzyna w jednej z kaplic katedry naszej wystawia ku czci publicznej. Skoroć tylu św. Patronów błogosławione szczątki tu Bóg pozwolił zebrać, to tem samem zaznacza, że jest wola Jego, byście się tu schodzili, cześć im oddawali, bo przez świętych samego Boga czcimy".

Szczupłość miejsca nie pozwala mowy tej przepięknej podać na tem miejscu w całej rozciągłości; musimy się aby na powyższych urywkach ograniczyć.

Od 23 do 27 listopada odprawili rekolekcye mężczyźni żonaci i nieco młodzieńców. Wszystkich było przeszło 400; połowa ze Śląska, reszta znowu z Polski i z Galicyi. Dobrze za serce chwytał sam widok tego wcale pokaźnego zastępu współbraci ze wszystkich 3 dzielnic naszej ojczyzny, a jeszcze bardziej ich pobożne śpiewy i całe zachowanie się na rekolekcyach. Nie pierwsza to sposobność zaznaczenia, jak lud

nasz, zwłaszcza na Śląsku, szuka Pana Boga i jak z łask Bożych korzysta. Kto, jak Ślązacy, Boga się trzyma, wiarę św. kocha, nie zginie.

Do słuchania spowiedzi jużeśmy się w pierwszym dniu rekolekcyj zabrali, boć chłopi w języku nieobrotni, a w „argumentowaniu“ zwykle poważniejsi. Pomogli konfratrzy z innych domów, oprócz nich 1 Ojciec Paulin ze Skałki.

W piątek zrana odbyła się generalna Komunia dla uczestniczących w rekolekcyach, poczem udzielone im zostało błogosławieństwo papieskie z odpustem zupełnym; na czem zwykle rekolekcye się kończą. Tymczasem obecni rekolektanci ani się ruszyć z kościoła nie chcieli — tak im pokuta zasmakowała, tyle dziwnych pociech przychylił P. Jezus tym biednym ludziom, że się zdawali ze św. Piotrem mówić: *Panie, dobrze nam tu być!* (Matth. XVII). A że właśnie tego dnia wypadł u nas obchód Objawienia Cudownego Medalu Najśw. Panny, prawie wszyscy na tym obchodzie i odpuście zostali — rozebrawszy poprzednio dla siebie i swoich przeszło 1300 tychże medalików. Sumę w tym dniu celebrował JW. X. prałat dr. Bandurski, kanclerz Książęco-Biskupiej Kuryi i kanonik katedralny, a kazanie wspaniałe, zastosowane do okoliczności, powiedział O. Janicki, gwardyan Braci Mniejszych. Wytłómaczył znaczenie Objawienia Cudownego Medalu, a potem do tego obchodu nawiązując, wskazywał wady, których się strzedz należy, żeby na przedziwną, cudowną opiekę N. Panny zasłużyć. A kiedy się przy końcu kazania zwrócił i do rekolektantów, odpowiedzieli płaczem i rzewnemi westchnieniami. Wielu zostało jeszcze na nieszporach, w czasie których znowu X. dr. Antoni Bystrzonowski pięknie wychwalał Najśw. Panienkę. Najprzew. X. Biskup Nowak tym razem być nie mógł, bo sam równocześnie swoje rekolekcye odprawiał. Zrezygnowali rekolektanci nasi ze szczęścia widzenia osoby Najdostojniejszego X. Biskupa; ale się utwierdzili w przekonaniu — i tak też między sobą mówili, że muszą być rekolekcye czemś dobrem, skoro je księża, a nawet biskupi odprawiają.

Dnia 7 grudnia zebrało się znowu w kościółku naszym 600 dziewcząt ze wszystkich trzech dzielnic Polski, prawie po 200 — jakby się umówiły — i wieczorem tegoż dnia rozpoczęły swoje ćwiczenia duchowne. Wielką dla nas misyonarzy jak i dla rekolektantek pociechę sprawił telegram, który z Rzymu nadszedł właśnie w chwili, kiedy się te rekolekcye rozpoczynały. Telegram ten adresowany do X. Józefa Sokołowicza, dyrektora rekolekcyj ludowych, brzmi jak następuje:

Rzym dnia 3 grudnia 1903.

Ojciec św. życząc najlepszego powodzenia pracom XX. Misyonarzy, całem sercem błogosławi licznie gromadzącym się wiernym, którzy w tym czasie odprawiają rekolekcye pod opieką św. Wincentego.

Kard. Merry de Val.

Stanęła znowu potężna gromadka — obfite zapowiadało się zaraz od początku żniwo. Było nieco kłopotu z umieszczeniem na noclegi; ale gdy poczciwe Siostry ze szkoły św. Stanisława Kostki otworzyły swe gościnne bramy, pomieściła się w ich ochronie i poczekalni spora gromada, reszta łatwo mogła w naszych ubikacyach pozostać. Pierwszy dzień rekolekcyj trafił na święto Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny — wszędzie obchodzone uroczyście, a u nas w Nowej Wsi Narodowej jest na ten dzień nadany przywilej zupełnego odpustu dla wiernych, którzy ten kościół zwiedzą i zwykłych dopełnią warunków. Wczesnym porankiem wybrały się gromadnie pątniczki nasze na Nową Wieś, śpiewając drogą pieśń o Najśw. Pannie z Lourdes: „*Anielską pieśń dzwon grał*". Zabawiły tam aż do południa śpiewając Godzinki i inne pieśni, słuchając nabożeństw i kazania. Wiele z nich przystąpiło już tam do św. Sakramentów, a wszystkie cieszyły się słuchając pięknego śpiewu i muzyki wychowanków naszego Małego Seminaryum. Sumę celebrował N. X. Wizytator Kiedrowski, kazanie miał wikaryusz z Piasku X. Madej. Od południa cała pokuta przeniosła się na Kleparz. Co prawda rozmaite fazy rekolekcye przechodziły u nas: były czasy, że

żniwo było wielkie, a robotników mało; a potem znowu trafiło się i tak, że robotników mieliśmy obfity zastęp, a nie było co robić. Obecna serya wypadła w sam raz: 600 uczestniczących, to niby wcale poważna liczba, ale też i na ambonie i w konfesyonałach opiekunów nie brakło.

Przez 2 dni konfesyonały oblężone rekolektantkami, ale i obsadzone wytrwale. Siedzieli w nich starsi i młodsi, nasi i zaproszeni, tak, że się wszystko znowu na czas pokończyło.

W piątek zaszczycił znowu konkluzyę N. X. biskup Nowak: odprawił cichą Mszę św., rozdał wszystkim uczestnikom rekolekcyi Komunię św., wybierzmował 96, a potem swoim zwyczajem prześlicznie przemówił. Zaczął od słów: *Wszystka piękna jesteś przyjaciółko moja, a zmazy nie masz w tobie.* (Cant. IV. 7).

Czekały jeszcze drobne prace i zajęcia przed świętami, dlatego na powyższych 3 seryach przerwaliśmy cykl rekolekcyi ludowych w obecnym sezonie.

Prócz rekolekcyi ludowych dawano w zeszłym kwartale kilka innych rekolekcyi, i tak: Siostrom Miłosierdzia na Kleparzu dawał X. Franciszek 18 sierpnia; niedługo potem dnia 14 listopada miał tenże ćwiczenia duchowne z dziećmi w domu centralnym. W połowie listopada X. Tyczka dawał także pięciodniowe rekolekcye wychowankom w zakładzie hr. Zamoyskiej w Zakopanem. Uczestniczyło w nich przeszło 200 panien z ochotą i dobrym skutkiem.

Dnia 12-go grudnia wyjechał X. Sokołowicz z exkursyą apostolską do Przeworska, gdzie odbyły się trzydniowe rekolekcye z dziećmi domowymi, to samo powtórzyło się w Moszczanach i po części w Rzeszowie. Na początku grudnia miały po raz pierwszy ćwiczenia duchowne dzieci Maryi u św. Łazarza, którym przewodniczył X. Krzyszkowski. W tymże czasie tę samą posługę duchowną dawał X. Binek wychowankom zakładu św. Jadwigi u PP. Nazaretanek, a X. Góral ze Stradomia dzieciom Maryi u św. Stanisława.

Zaznaczyć też można z przyjemnością, że obecny prezes Konferencyi św. Wincentego à Paulo, p. Konstanty Po-

piel, oraz członkowie tegoż Towarzystwa pragną być z nami w bliższej styczności i w tym celu nasz kościółek obrali za punkt zborny dla swych nabożeństw.

Najważniejszem zdarzeniem ubiegłego kwartału był odjazd trzech naszych konfratrów do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, t. j. do Brooklyn'u obok Nowego Yorku, dokąd ich X. Dr Nawrocki na życzenie Najprzew. X. Biskupa powołał, aby w parafii polskiej św. Kazimierza misyę odprawili. Dnia 19 listopada nastąpił wyjazd z Krakowa naszych trzech drogich konfratrów. X. Jerzy Głogowski zamianowany został dyrektorem misyi zagranicznej, a X. Franciszek Trawniczek i X. Paweł Waszke zaprawieni na misyach w Galicyi lub na Bukowinie razem z nim pojechali, aby w Ameryce nawracać zbłąkanych współbraci lub ich w dobrem ukrzepiać. Na razie nie chcemy opisywać ich podróży i dalszych losów tej wyprawy; zaznaczyć tylko można, że po wielu przykrościach podróży morskiej dojechali szczęśliwie z początkiem miesiąca grudnia do Nowego Yorku. Niedługo potem odprawili pierwszą misyą polską w parafii św. Kazimierza w Brooklynie, a następnie przenieśli się do sąsiedniej dyecesyi Hartfort i osiedlili się (jak się zdaje) na stałe w mieście New Hafen, gdzie na życzenie X. Biskupa objęli parafię polską.

Nowa Wieś Narodowa. Konfratrzy tutejszego domu obok prac naukowych przy Małem seminaryum, oddają się także, jak w latach poprzednich, pracy duchownej przy swoim kościele. Wyspowiadano w tym roku 7356 osób, zaopatrzono chorych 115. Kazania mówiono na Sumie w każdą niedzielę, święto i na popołudniowem nabożeństwie do Serca Jezusowego, które w tutejszym kościele jest zaprowadzone. Mówiono także przez cały rok kazania do artyleryi polowej łobzowskiej, która do tutejszego kościoła regularnie co dwa tygonie uczęszcza. Konfrater tutejszego Domu, X. Mixa, udzielał w maju rekolekcyi WW. SS. Miłosierdzia w Poznańskiem i Prusach Zachodnich.

Syrya. Z Tripolis pisze Misyonarz X. Jeremiasz Aoun do Najprzew. O. Generała, że od marca 1902 roku dali nasi

konfratrzy siedm misyi, trzy razy rekolekcye dla stu czterdziestu kapłanów i sześć razy rekolekcye dla świeckich ludzi tak w Tripolis, jak i w Edenie. Misye te były potrzebne, bo chrześcijanie, żyjący wśród fanatycznych Muzułmanów, Greków-schyzmatyków i Ansaryów, którzy właściwie żadnej religii nie mają, pogrążeni byli w nieświadomości praktyk religijnych. Byli zaś za leniwi, by pójść do sąsiednich wiosek po naukę prawd chrześcijańskich. Lecz Misyonarze przyszli im z pomocą duchowną. Łaska Boża dużo tu zdziała w tej misyi. Potem dali misyę w tak zwanej Dolinie świętej, leżącej o jakie dwie godziny od cedrów Libanu. Zowie się ta dolina Doliną Świętych, bo w czasie prześladowań chrześcijanie chronili się na to miejsce, aby się oddawać życiu świętemu. Jeszcze dotąd widać na wielu miejscach kapliczki i groty po tych pierwotnych mieszkańcach. Dotąd jeszcze mieszkańcy Doliny świętej słynęli z pobożności i ze swej żywej wiary, lecz obecnie wielu ucieka do Ameryki za złotem. Niema jednej rodziny, któraby nie miała kogo z pośród siebie w Ameryce lub w Afryce. A zdarza się, że tacy poszukiwacze pieniędzy wracają z trochę grosza, ale i z błędami lub z zaniedbaniem religijnych obowiązków. Nawróciło się też dwóch Greków-schyzmatyków

„Przegląd katolicki“ z dnia 7 stycznia 1904, podaje następujące szczegóły o walce protestantyzmu z Siostrami Miłosierdzia w Bawaryi. Wiek XX. wogóle zerwał z zastarzałymi przesądami, z którymi dawniej liczył się nawet skrajny radykalizm. Z wyjątkiem orgii jakobinizmu, biały Kornet Siostry Miłosierdzia, szanowany był dotąd zawsze i przez wszystkich, jak go dziś szanują dzikie plemiona i cały muzułmański wschód. Panu Combés przysługuje zaszczyt pierwszej eksterminacyjnej wojny przeciw tym aniołom poświęcenia, a zacietrzewieni w swym fanatyzmie i nietolerancyi, protestanci niemieccy starają się iść w jego ślady. W sejmie bawarskim wystąpił protestancki dziekan dr. Wirth, z twierdzeniem, że Siostry Miłosierdzia, obsługujące w publicznych szpitalach protestanckich chorych, nie chcą do tych ostatnich, nawet na ich żądanie, przywoływać pastorów dla udzielenia im przedśmier-

tnych pociech religijnych. Twierdzenie to poparł współwyznawca mówcy, dr. Deinhard, przytaczając, jako dowód, że wiejska służąca protestancka będąc chorą, zażądała przed dwoma laty w szpitalu Juliusza w Würzburgu, duchownego i żądanie jej nie zostało spełnione.

W odpowiedzi na te zarzuty i dowody, a ściślej mówiąc, jedyny dowód, katolicki deputowany Gerstenberger skonstatował wśród homerycznych śmiechów izby, że w szpitalu Juliusza nie ma i nie było nigdy Sióstr. Istotnie na następnym posiedzeniu odczytano urzędowe oświadczenie zarządu odnośnego szpitala, że zakład ten obsługiwany jest wyłącznie przez świeckich infirmarzy i dozorczynie, że fakt ten wspomniany przez dr. Deinharda jest z gruntu fałszywy. Na podstawie zaprzysiężonych zeznań stwierdzono, że przed dwunastu laty znajdowała się istotnie dziewczyna, wymieniona przez dr. Deinharda, i że na jej żądanie dozorczyni poszła po pastora stojącego w dziedzińcu szpitala, z prośbą, aby ją odwiedził. Ponieważ jednak chora dotknięta była tyfusem, pastor bał się zarazić i odpowiedział dosłownie: „Nie sposób, żebym się dał do wszystkiego zawsze używać. Nie mam czasu“. I poszedł, a chora umarła bez niego.

Tak wygląda zarzut przeciw zakonnicom katolickim w oświetleniu zaprzysiężonych świadków.

Tenczynek. W ubiegłym roku cicha ta miejscowość była świadkiem pięknej uroczystości, t. j. jubileuszu złotego, Siostry Miłosierdzia T. Wężyk. Życzeniem jubilatki było, by uroczystości jej nie obchodzić, a jeżeli już ma być koniecznie, to o ile można w ramach, jak najskromniejszych. Taki też był charakter jubileuszu, cichy i skromny. Jedno tylko uderzyło naocznego świadka uroczystości, a mianowicie serdeczność z jaką ona była obchodzoną; tyle tam było serca i tyle przywiązania do jubilatki. Boski Zbawiciel często zalecał uczniom swoim dwie cnoty, t. j. cichość i pokorę serca, obiecując im w zamian odpoczynek duszy. Jubilatka pojęła tę naukę śliczną i wzniosłą — zaszczepiła a następnie i ugruntowała w sobie tę cnotę, która jej zjednywała i przez którą podbijała sobie umysły wszystkich, z któremi przyszło jej

pracować w życiu. Wszyscy więc znający jubilatkę zbliska i zdaleka, spieszyli złożyć życzenia i oddać hołd pracy zasłużonej.

Krótko przed jubileuszem odbywały się rekolekcye Sióstr Przełożonych na Kleparzu, większa ich część podążyła do Tenczynka, by uczcić jubilatkę. Wśród Sióstr widzieć można było Matkę Wizytatorkę i wszystkie prawie Przełożone domów krakowskich. Jak zaś czczoną i kochaną była i jest jubilatka, świadczy wymownie przybycie Sióstr aż za granicy i to już 3 września. We wigilię uroczystości przybył X. Wizytator z Kleparza wraz z X. Siemaszką, spowiednikiem Sióstr w Tenczynku. Dnia następnego, t. j. w sam dzień jubileuszu 20 września, przyjechali inni jeszcze księża Misyonarze, i niektóre Przełożone krakowskie. Uroczystość jubileuszowa rozpoczęła się ofiarą Mszy św., odprawionej przez X. Siemaszkę, podczas której wszystkie Siostry przyjęły Komunię, następnie o godz. 8 odprawił X. Wizytator śpiewaną Mszę św. Dalszy ciąg nabożeństwa odbył się w kościele parafialnym, gdzie Sumę odprawił jeden z księży Misyonarzy, a kazanie piękne i pełne zapału wygłosił X. Wizytator. Po uroczystości kościelnej składano życzenia jubilatce w pięknie i gustownie przybranej sali. Składanie życzeń rozpoczęły Siostry kantatą na cześć jubilatki a następnie X. Wizytator miał przemowę, w której z naciskiem zaznaczył męstwo w rozstaniu się z familią i porzucenie wszystkiego, co świat obiecywał, zachowanie reguł i zwyczajów Zgromadzenia, trudy i przykrości jakie znosiła wypędzona z Prus i skazana szukać przytułku na obcej ziemi, miłość i poświęcenie dla ubogich a na zakończenie życzył X. Wizytator, by długo jeszcze mogła budować Zgromadzenie cnotą i zaparciem siebie. Wzruszona jubilatka ze łzami w oczach dziękowała mówiąc, że zawsze była szczęśliwą w Zgromadzeniu, że choć wiele przeżyła przykrości, to jednak prawie, że ich nie czuła, gdyż uważała to za wolę Boga — dalej dziękowała serdecznie wszystkim za przybycie na uroczystość i prosiła X. Wizytatora o błogosławieństwo.

W dalszym ciągu składali życzenia X. proboszcz Góra, w imieniu swojem i parafii, przewodniczący miejscowej Rady

szkolnej, p. Włodzimierz Braun, nadleśniczy dóbr hr. Potockiego, nauczyciele okoliczni i XX. Misyonarze, którzy wrócili z parafii.

Po południu przyszła kolej na tych, którym jubilatka życie swe poświęciła. Około godziny 2 deputacya dzieci, złożona z 6 chłopców i tyleż dziewczynek, ubranych po krakowsku, przybyła do furty Sióstr, by zaprosić jubilatkę do szkoły. Na wstępie powitały dzieci solenizantkę śpiewem pieśni polskich, a następnie nastąpiło składanie życzeń. Była to chwila rozrzewniająca. Dzieci małe składały dary, jak sierp, wrzeciono złote, księgę, złoty wieniec laurowy z liści i kłosów — chłopcy przynieśli bukiet z żywych kwiatów i wotum od Najśw. Panny na podziękowanie za zdrowie i doczekanie tego szczęśliwego dnia. Na zakończenie zaśpiewały dzieci raz jeszcze pieśni polskie, poczem jubilatka rozdała im obrazki.

Przy tych życzeniach można było dostrzedz owoce pracy i podziwiać kierunek prowadzenia dzieci. Miłość Boga i Ojczyzny, to owoc długoletnich usiłowań. Nie do Ameryki, ani Ostrawy jechać nam potrzeba, zaznaczył jeden z chłopców, lecz na glebie ojczystej pracować i ją się nauczyć kochać, to nasz obowiązek.

Na zakończenie wspomnieć wypada o wielkiej dobroci hr. Adamowej Potockiej, która, będąc osobistą przyjaciółką jubilatki, nie szczędziła zachodu, by uroczystość wypadła świetnie.

Turka. Dnia 25 stycznia zeszłego roku przybyła do Sambora Czcigodna Siostra Asystentka, skąd w towarzystwie Siostry R. Wiśniewskiej udała się do Turki, by oglądnąć szpital, ofiarowany Siostrom Miłosierdzia. Już 28 lutego wyjechały cztery Siostry Miłosierdzia, a wśród nich Siotra Wiśniewska, by objąć rzeczony szpital. Strudzone uciążliwą jazdą na saniach, przybyły późnym wieczorem na miejsce. W szpitalu wszystko spało, bo nikt ich się nie spodziewał, albowiem zawiadomienie Przewiel. Matki Wizytatorki nie nadeszło było, pomimo, że je wysłano na czas. Służba niechętnie je przyjęła i ledwie pomogła bagaże znieść do pokoi, o nic się wię-

cej nie troszcząc. Siostry zgłodniałe i zmęczone posiliły się zapasami, jakie im poczciwe Siotry dały na drogę na odjezdnem. Nazajutrz wczas rano, dyrektor szpitala przybył je przywitać i przepraszał, że ich nie przyjął wczoraj, gdyż nie wiedział o ich przyjeździe w tym dniu. Odwiózł je potem do do kościoła o trzy kilometry odległego na Sumę, bo była właśnie niedziela. Księża tamtejsi mile i życzliwie przyjęli Siostry. Po powrocie do domu, Siostry poszły do swych chorych. Ci z nieufnością patrzyli na nie, gdyż służba nastraszyła ich, iż odtąd ostro i szczupło będą trzymani. Lecz z czasem chorzy się zmienili na lepsze. Trudności są z nimi nie małe, bo to są robotnicy kolejowi: Czesi, Chorwaci, Węgrzy i Włosi.

Szpital zbudowany jest na stoku góry ku stronie południowej. Widok prześliczny roztacza się wokoło. — Lud tu ubogi, bo grunt skalisty i górzysty mało przynosi dochodów, więc też i Turka nie szczególnie wygląda. Błoto wszędzie straszliwe, zwłaszcza w rynku, na którym w zimie więcej kóz i nierogacizny niż ludzi. Wprawdzie do szpitala wiedzie gościniec bity, lecz i na nim tyle błota, że ujść trudno. Dostęp do Turki ułatwi nowa kolej żelazna, jaka się obecnie buduje.

Wielką pociechą dla Sióstr jest ładna kaplica w szpitalu, którą im poświęcił Najprzewielebniejszy X. Biskup Fischer, Sufragan przemyski, w czasie swej wizyty kanonicznej w Turce, dnia 9-go września zeszłego roku. W kapliczce tej odprawia się dwa lub trzy razy na tydzień Msza św. i przechowuje się stale Przenajświętszy Sakrament. W tej też kaplicy obchód uroczystości Cudownego Medalika wypadł bardzo pięknie, dzięki życzliwości miejscowych księży.

Z powodu roku jubileuszowego Matki Najśw. Niepokalanie Poczętej, mamy zamiar ostatni rocznik poświęcić czci Najśw. Maryi Panny i podać szczegóły z rozwoju nabożeństwa do Niepokalanego Poczęcia w Polsce. W tym celu upraszamy wszystkie dyrektorki Stowarzyszenia „Dzieci Maryi“ o nadsyłanie do redakcyi „Roczników“ sprawozdań co do początku rozwoju i ilczby członków tego Towarzystwa.

ZMARLI:

Br. Augustyn Vcole, 19 października 1903 r. w Loos (Pikardya), żył lat 81, w Zgromadzeniu 42.

X. Atiliusz Guidotti, 18 października 1903 r. w Syennie (Włochy), żył lat 55, w Zgromadzeniu 26.

X. Franciszek Montenengo, 20 października 1903 r. w Parmie (Lombardya), żył lat 76, w Zgromadzeniu 59.

Br. Maryan Loria, 24 października 1903 r. w Madrycie (Hiszpania), żył lat 20, w Zgromadzeniu 3.

Br. Mikołaj Redondo, 25 października 1903 r. w Madrycie (Hiszpania), żył lat 24, w Zgromadzeniu 7.

Br. Klemens Mescheda, w październiku 1903 r. w Terraba (Niemcy), żył lat 47, w Zgromadzeniu 9.

Kleryk Jan Ernest, 31 października 1903 r. w Paryżu, żył lat 21, w Zgromadzeniu 5.

X. Rafael Vajano, 8 listopada 1903 r. w Neapolu, żył lat 75, w Zgromadzeniu 48.

Br. Karol Pouchel, 15 listopada 1903 r. w Paryżu, żył lat 58, w Zgromadzeniu 34.

X. Wilhelm Ryan, 4 listopada 1903 r. w German-town (Stany Zjednoczone), żył lat 72, w Zgromadzeniu 54.

Br. Jan Lerho, 20 listopada 1903 r. w Orleanie (Francya), żył lat 65, w Zgromadzeniu 33.

Br. Pantaleon de Carlo, 26 listopada 1903 r. w Neapolu, żył lat 70, w Zgromadzeniu 23.

X. Alfons Firmini, 23 października 1903 r. w Manilli (Filipiny), żył lat 26, w Zgromadzeniu 10.

X. Józef Bianchi, 4 grudnia 1903 r. w Genui (Włochy), żył lat 84, w Zgromadzeniu 29.

Kleryk Teofil Lazar, 10 grudnia 1903 r. w Gracu (Austrya), żył lat 21, w Zgromadzeniu 4.

X. Karol Bianchi, 17 grudnia 1903 r. w Neapolu, żył lat 66, w Zgromadzeniu 43.

Kleryk Maryan Hugnet, 12 grudnia 1903 r. w Ternel (Hiszpania), żył lat 25, w Zgromadzeniu 8.

X. Antoni Cosa, 25 grudnia 1903 r. w Mondovi (Lombardya), żył lat 91, w Zgromadzeniu 61.

Br. Wincenty (Jan Rysiński), 3 stycznia 1904 r. w Krakowie (Polska), żył lat 74, w Zgromadzeniu 50.

R. I. P.

Dobre książki do nabycia u XX. Misyonarzy.

1) X. K. Gawroński: **Jasny i gruntowny wykład nauki Kościoła św.**, opr. 2·50 Kor. (Mk.).
2) Tegoż: **Historya święta**, 2 tomy razem oprawne 2·80 Kor. (Mk.).
3) X. Ludwik z Grenady: **Przewodnik grzeszników**, opr. 3·20 Kor. (Mk.).
4) X. Mioduszewski: **Śpiewnik kościelny** ze wszystkimi dod. 8 K. (Mk.).
5) Tegoż: **Kantyczka** 1·10 Kor. (Mk.).
6) **Pastorałki i kolędy** z nutami, opr. 2 Kor. (Mk.).
7) **Wiadomość o 3 Szkaplerzach** i krótkie nabożeństwo 20 hal. (fen.).
8) **Nowenna za dusze w Czyścu** 30 hal. (fen.).
9) **Officium za zmarłych** 20 hal. (fen.).
10) **Opis koronki za zmarłych** 10 hal. (fen.).
11) **O naśladowaniu J. Chrystusa**, br. 1 Kor. (Mk.), opr. 1·50 Kor. (Mk.).
12) **O naśladowaniu Najśw. P. M.**, opr. 60 hal. (fen.).
13) **Nowenna do św. Wincentego à Paulo** 30 hal. (fen.).
14) **Maksymy św. Wincentego na każdy dzień roku** 30 hal. (fen.).
15) **Nowenna do św. Tekli** 30 h. (fen.).
16) **Adoracye N. Sakr.** opr. 1 Kor. (Mk.).
17) **Nowenny do Najśw. Panny M.**, opr. 1 Kor. (Mk.).
18) S. Kat. Emmerich: **Bolesna Męka Zbawiciela naszego** 1 Kor. (Mk.), opr. 1·50 K. (Mk.).
19) Tejże: **Życie Najśw. Panny**, opr. 1 Kor. (Mk.).
20) **O Dzieciątku Jezus w Pradze** 20 hal. (fen.).
21) **O jedności Kościoła** 2 Kor. (Mk.).
22) **Pacierz codzienny** 10 h. (fen.).
23) **Zegarek Męki Pańskiej** 10 hal. (fen.).
24) **Ofiarowanie Męki P. za zmarłych** 10 hal. (fen.).
25) **Śpiewniczek** mniejszy 60 hal. (fen.).
26) „ większy 1 Kor. (Mk.).

27) X. Dr. Collet: **Rozmyślania rekolekcyjne**, opr. 1·40 Kor. (fen.).
28) **Pamiątka rekolekcyi** większa, opr. 30 hal. (fen.).
29) **Pamiątka rekolekcyi** mniejsza, 10 hal. (fen.).
30) **Dusza przy żłóbku Chrystusa**, br. 30 hal. (fen.), opr. 40 hal. (fen.).
31) **Skarb ukryty**, opr. 80 hal. (fen.).
32) **Manualik Dzieci Maryi** po 1·60, 2 i 3 Korony (Mk.).
33) Św. Franciszek Sal.: **Droga do życia pob.**, brosz. 1 Kor. (M.), opr. 1·50 K. (M.).
34) **Błog. Franciszek Reg. Klet** 1 Kor. (Mk.)
35) **Obrazki** z życiorysem tegoż, 100 sztuk 3 Kor. (Mk.).
36) **Żywot św. Jana Kantego**, opr. 1 Kor. (Mk.).
37) Miesiące: **Styczeń**, 38) **Marzec**, 39) **Czerwiec**, 40) **Październik**, opr. po 1 K. (Mk.) 41) **Maj** 80 h. (fen.).
42) **Nabożeństwo do Niep. Serca Maryi**, br. 30, opr. 40 hal. (fen.).
43) **Książeczka misyjna** 1 Kor. (Mk.).
44) **Książki do nab. z odpustami** po 1·60, 2 i 3 K. (Mk.).
45) **O medalu św. Benedykta** 10 h. (fen.).
46) **Listki kółek żywego różańca** po 20 hal. (fen.).
47) **Cantionale Ecclesiasticum**, opr. 5 Kor.
48) **Rituale Sacramentorum** 7 Kor.
49) **Konferencye** X. F. Gawrońskiego, 2·50 K.
50) **Nieszpory łać.** i polskie 100 szt. 7 K. (Mk.)
51) **Obrazy N. Oblicza P. J.** na płótnie większe i mniejsze, **Dzwonki Loretańskie** i **Okowy św. Piotra.**
52) **Nowa pieśń o N. P. Lourdeńskiej**, z melodyą 10 hal. (fen.).

W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.